GABRJELA ZAPOLSKA



ANTYSEMITNIK

LEKTOR 1921

ANTYSEMITNIK

WYDAWNICTWA „LEKTORA“

D'ALCOFORADO. Listy miłosne. (wyczerpane).
BAŃKOWSKA M. Horyńce. Lwów 1920.
BOHOWITYN. Dzieje mężatek. (wyczerpane).
„ Słoneczniki. Warszawa 1920
„ Za chimerą szczęścia. (wyczerpane).
BOJANOWSKI H. Vae victis. (wyczerpane).
CONRAD J. Banita. (wyczerpane).
EWERS H. H. Alraune IV. wyd. Lwów 1921.
„ Mamaloi. (wyczerpane).
„ Pająk. (wyczerpane).
„ Uczeń czarnoksięski. (wyczerpane).
FARRÈRE C. Ludzie cywilizacji. Kraków 1921.
„ Nasze sojuszniczki. (wyczerpane).
„ Panieństwo Panny Dax. Kraków 1921.
„ Opium. (wyczerpane).
FRANCE A. Bunt aniołów. (wyczerpane).
„ Czerwona lilja. Warszawa 1921.
GELLA J. Ruski miesiąc. [Obrona Lwowa]. (wyczerpane).
KELLERMANN B. Tunel. (wyczerpane).
KUPRIN A. Miłość Sulamity (wyczerpane).
PRZYBYSZEWSKI S. Krzyk. (wyczerpane).
„ Na marginesie tworu Ewersa.
„ Powrót. (wyczerpane).
RACHILDE. Żonglerka. Lwów 1920.
SINCLAIR U. Emil poszukujący prawdy. (wyczerpane).
SROKOWSKI M. Kult ciała. Lwów 1920.
WIERBICKAJA A. Pierwsze jaskółki. Warszawa 1920.
WILLY. Małżeństwo Klaudyny. Kraków 1920.
ZAPOLSKA G. Antysemitnik. Lwów 1921.
„ Córka Tuśki. Kraków 1920.
„ Janka. Lublin 1921.
„ Kobieta bez skazy. Lwów 1921.
„ Rajski ptak. (wyczerpane).
„ Przedpiekle. (wyczerpane).
„ Szaleństwo. Lwów 1921.
„ Z pamiętników młodej mężatki. Lwów 1921.
ZBIERZCHOWSKI H. Djabelska przełęcz. (wyczerpane).

GABRJELA ZAPOLSKA

ANTYSEMITNIK

POWIEŚĆ

Piąty tysiąc.

1921.
WYDAŁ INSTYTUT LITERACKI „LEKTOR"
LWÓW—WARSZAWA—KRAKÓW.

SKŁADY GŁÓWNE:

we Lwowie:

„Lektor", Mikołaja 23. (dom własny)
„Księgarnia Nauczycielska", Batorego 12

w Krakowie:
„Lektor", Rynek 22.

w Lublinie:
„Lektor", Szopena 5.

w Warszawie:
„Lektor", Sienkiewicza 5.

w Czerniowcach:
„Lektor", Gregora 3.

we Wiedniu:
„Lektor", Kärtnerring 6.

w Lipsku: F. Volckmar.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ I WYKONAŁ ART. MALARZ LEON OSTROWSKI W WARSZAWIE.

ODBITO W DRUKARNI UDZIAŁOWEJ LWÓW, UL. KOPERNIKA L. 20

Ze stu ośmdziesięciu sześciu guldenów, wygranych w ciemnej kawiarnianej norze, pozostało tylko czterdzieści siedm.

Według obietnicy, uczynionej towarzyszom, należało je „puścić" koniecznie.

Reszta spłynęła tanim a chrzczonym na drogi szampanem, kanapkami, kwiczołami, likierami, kawiorem i innemi truciznami, których resztki plamiły obrus restauracyjnego stołu.

Szatkiewicz pił mieszaninę, złożoną z reńskiego wina, portwejnu, alaszu, piwa, musztardy, soli i curaçao. Było to w barwie nieokreślone, w smaku ohydne, ale Szatkiewicz nie chciał ustąpić z pola blademu Witwickiemu, który celował w wypijaniu podobnych mięszanin. Napadało to na nich zwykle już nad ranem, gdy wypite fałszowane trunki działać zaczynały podniecająco. Preparowali tedy rozkoszne mięszaniny z zamiłowaniem rozpoczynającego swój zawód farmaceuty.

Potem — pili powoli — śledząc się wspólnie z pod obrzękłych powiek. Nie krzywili się nawet i przybierali miny męczenników, dręczących się dobrowolnie do jakiejś idei. Tylko małe, błękitnawe oczka Witwickiego zasnuwały się bielmem, choć

na ustach wykwitał gorzki ironiczny uśmiech. Za to Szatkiewicz dostawał wypieków na swej dziecinnej, okrągławej twarzyczce. Zaciskał kurczowo palce dokoła nóżki kieliszka — lecz pił, pił, pił...

O szyby „gabinetu“ łopotał mocny wiatr jesienny. Czasami poza oknem przesunął się jakiś cień — ktoś ze służby, idący gankiem, zaspanym powolnym krokiem. Garstka młodych ludzi w gabinecie piła jeszcze ciągle, przeżuwając jedne i te same temata rozmowy. Chwilami jakiś rzeczywisty dowcip wystrzelił, zrodzony na gruncie szyderstwa lub plotki — lecz dowcip ten wchłaniał w siebie chór głosów zmięszanych, młodych, trochę ochrypłych, przelewający się o ściany gabinetu, jak łoskot rozklekotanych cymbałów. Z góry, o dwóch ramionach kandelabr gazowy syczał cicho, ironicznie, bezustannie, a na stole, pomiędzy bandą butelek, dogorywały dwie świece, jak dwie gromnice nad ranem przy zapomnianym trupie.

Szatkiewicz oparł się teraz na poręczy krzesła i bezmyślnie wpatrzył się w duże, czarne, potworne lustro, które — jak ptak bajeczny i żałobny i nieruchomy — wisiało na ścianie ponad konsolką, na której leżała sterta kapeluszy.

Po za nim ktoś grał na rozstrojonem pianinie, coś Szumana — zdaje się „Warum“, niecierpliwe i rozpaczliwe — wyjące z tęsknotą w tej atmosferze knajpianej, przesyconej dymem i szelestem

plotek, rozbierających fizycznie i moralnie znane i nieznane kobiety.

Szatkiewicz śledził ciągle kontury ram lustra, które go ciągnęło ku sobie, straszyło i interesowało zarazem. Szczególniej po obu bokach odstawały dwie kiście czarnego i żółtego drzewa — istne skrzydła szatanów, zabierających się do odlotu. Od chwili wejścia do owego gabinetu razem z tą gromadą już na wpół pijanych ludzi wlepiał bezustannie wzrok swój w to lustro. Teraz — nad ranem, gdy gasły świece, znał je dokładnie — rysunek linij, potworną całość zamęczonego i rozpiętego na ścianie ptaka i obraz ten wpijał się dokładnie w jego mózg chory i zdręczony. Zamknął powieki i widział jeszcze najdokładniej lustro...

Wyciągnął rękę i bezwiednie — złamaną wykałaczką kreślił po obrusie skrzydła szatana. Równocześnie ciągle, bezustannie po umyśle jego przesuwała się jedna i ta sama myśl.

— Skąd wezmę na jutro czterdzieści pięć reńskich!

Lecz Witwicki, wygłosiwszy zdanie o braku „kultury“ u przeciętnych Krakowian, przysunął do siebie koszyk z pozostałemi bułkami i rozpoczął w każdej bułce świdrować niewielkie dziury. Następnie wyjmował ośrodek i wypełniał to wydrążenie pieprzem, opiłkami od cygar, wykałaczkami, musztardą, kaparami i wszystkiem, co mu pod

rękę podpadło. Pracował sumiennie, wysuwając przytem swój spiczasty nakształt żądła język. Siedzący obok niego młodzieńcy zainteresowali się niepomiernie tą kulturalną pracą i dawali Witwickiemu wskazówki, które on zbywał uśmiechem, pełnym pogardy i wyższości. Zalepiał bowiem otworki „faszerowanych“ w ten sposób bułek i układał je napowrót w koszyku, rad ze siebie i ze świata.

Szatkiewicz uczuł się na chwilę zgnębionym Chciał w jakiś sposób pobić wyższość Witwickiego. Machinalnie sięgnął ręką do kieszeni i napotkał w niej rogową, kobiecą — do włosów szpilkę. Wyjął ją i rzucił na stół. Zaczerniła się nagle ta biedna nędzna szpileczka, imitująca źle szyldkret wśród rozlanych likierów i rozsypanej soli. — Witwicki wyciągnął po nią chciwie rękę i czemprędzej wsunął ją w bułkę. Przed oczyma Szatkiewicza mignęła postać szczupłej, śniadej chórzystki, którą w chwilach dobrego humoru nazywał „nietoperzem“. Ona to wczoraj zgubiła tę szpilkę, gdy się z nim żegnała pod drzwiami teatru. Dojrzał ją w świetle latarni, schylił się i podniósł. Dziewczyna zniknęła w sieni, szpilkę jej miał oddać dziś, odprowadzając ją z teatru — ale po nią nie poszedł. Pił noc całą, a potem troska o czterdzieści pięć guldenów trapiła go jak zmora. Nie zwracał nawet uwagi na to, co dokoła niego mówiono. Widział

przed sobą czarną marę gospodyni hotelu, której był winien za mieszkanie i która codziennie nachodziła go, lub przysyłała kelnerów...

„Warum“ Schumana rozpłynęło się w nerwowym akordzie i teraz grzmiał, huczał, brzęczał fortepian trywialnym motywem. I cały chór zaśpiewał:

— Ja beim Souper —
Erlebt man tolle Sacher...

Drzwi otworzyły się i w nich ukazała się głowa samego restauratora, głowa chińczyka z grzywką i bez warkocza. Uśmiech dziwaczny, jakby wywołany pociągnięciem sznureczka, ozdobił jego usta.

— Panowie się bawią!... wymówił cukrowym głosem.

— Ja beim Souper
Im chambre separée —

Odpowiedział mu chór.

— Kawci panowie życzą sobie?

— Daj pan całe wiadro! — odparł Witwicki — mamy jeszcze czterdzieści siedm guldenów do stracenia!

Głowa chińczyka znikła — a Szatkiewicz począł wpatrywać się, milcząc, w swego amfitrjona. Był to brodaty, czworograniasty „nastrojowiec“, z dużą ciemną brodą i rozmarzonemi oczami. Pracował w tym samym co i Szatkiewicz dzienniku, tylko

zajmował stanowisko wyższe, miał w redakcji całe — nie pęknięte biurko, dywanik pod nogami i pewne zachowanie u samego pana redaktora.

Nazywał się Binder, w redakcyi był już od dawna, od lat kilku i był tem — co się nazywa „filarem“, to jest pół prawej ręki samego redaktora. Dekadentem był skrytym i przyznawał się do tego jedynie w knajpach i po wypiciu znacznej ilości piwa. Dekadentyzm nie jest popłatny jeszcze na krakowskim bruku, a Binder lubił mieć porządne palto i świeże rękawiczki. Blade twarze, syntetyczne rysunki, nastrojowe poezje, ciągnęły go jednak. Wszystkie „izmy“ zbijał w czambuł i nazywał „dekadentyzmem“ i był cichym takim „istą“, nie w dziełach, ani w życiu — ale w pragnieniach. Służył w tak zwanej „trzeźwej“ i „zdrowej“ redakcji, więc „izmy“ chował do kieszeni i pokrywał płócienną, uczciwą chustką małomiasteczkowego, przeciętnego, dziennikarskiego filisterstwa. We dnie bywał „nieprzebłagany“, nocami zaś grywał zawzięcie w karty z współpracownikami wrogich pism, lub deklamował u Hawełki przy bombie piwa — wiersze Tetmajera.

Na niego to Szatkiewicz patrzył w tej chwili z dziwną nienawiścią. Pił wszakże noc całą za jego pieniądze. Przenieśli się wprost z. kawiarni, gdzie przyszli po premierze teatralnej z zamiarem wykończenia krytyki, napisanej już przed przedsta-

wieniem. Karty pochłonęły ich uwagę, póżno już w noc przypomniano sobie o niewysłanym skrypcie. Lecz załatwiono się prędko. Na marmurowym blacie tak zwanej „antysemickiej kuźni“ — maltretowano zepsutą i pryskającą stalówką dyrekcję autora sztuki i biorących udział w przedstawieniu artystów. Istniał bowiem rozkaz wydany — rozkaz nieprzekraczalny podobnego systemu „gnębienia“ teatru od początku sezonu i współpracownicy *Kurjera Narodowego* trzymali się tego rozkazu z uporem ludzi tonących, którym los nadarzył w falach rzecznych znaleźć brzytwę.

„Urządziwszy“ więc w ten sposób premierę, oddali się z zamiłowaniem namiętnem kartom i rezultatem tej kilkugodzinnej, mozolnej pracy była teraz *Souper in chambre separée* — z szampanem, pianinem, cuchnącemi kuropatwami, syczącym gazem i wyciem od czasu do czasu piosenek, posłyszanych w rozkosznych salach Odeonu lub Friedmanna.

Szatkiewicz zapadał w rodzaj odrętwienia. Słyszał dokoła siebie szum, gwar, widział potworne lustro i z boku, gdy się odwrócił, dostrzegał bronzowe popiersie jednego z wielkich malarzy, na którego głowie wisiały na bakier włożone dwa kapelusze. Myślał, że uczta owa mogłaby się już skończyć, a on, Szatkiewicz, poszedłby do domu i po drodze pomyślałby spokojnie nad tem, skąd

wziąć na jutro owe czterdzieści pięć guldenów. Powiódł wzrokiem po stole — dużo butelek wypróżnionych czerniało dokoła. To były wszystko — pieniądze... wydane po głupiemu przez Bindera pieniądze, których on, Szatkiewicz, nie miał, a bez których obejść się nie mógł.

Słyszy, iż dokoła niego zaczyna się jakaś utarczka „przekonań". Zwykła utarczka ludzi pijących dużo w zbyt ciasnej przestrzeni. Lecz tym „młodzieńcom" z przeciwnych obozów w gruncie rzeczy jest wszystko jedno. Sprzeczają się dla formy — mówią — darujcie! jednak my stojąc na stanowisku... a w gruncie rzeczy myślą, że kawa jest zimna, że należy coś zrobić z resztą nocy, wydać jeszcze to, co pozostało z wygranych pieniędzy w kieszeni Bindera.

Szatkiewicz zaczyna nienawidzieć ich wszystkich. Po co wypili tyle i zmarnowali tyle pieniędzy? — Jest pijany, ale bez utraty przytomności Tylko upór wzrasta w nim do potęgi, upór i uraza. Po co tyle zmarnowano likierów?

Wzrok jego znów pada na Witwickiego. Ten siedzi prosto, bynajmniej nie pijany, fatalnie blady i tylko po czole spływają mu powoli krople potu. Przestał „faszerować" bułki i melancholijnie przypatruje się szybom, poza któremi świt ma wstać niezadługo. Wreszcie wyciąga palec i mówi powoli:

— Tamtędy przyjdzie słońce!

Lecz nikt go nie słucha, bo wszyscy już wstają i zabierają się do odejścia. Szukają kapeluszy i lasek z łoskotem ludzi, którzy dopiero w tej chwili mogą zrozumieć, jak dalece stracili przytomność i równowagę.

Szatkiewicz nie wstaje.

Wyciągnął nogi przed siebie, daleko pod stołem — ręce wpakował w kieszenie i wzrok utopił w twarzy Witwickiego.

Kto wie? Może on... pożyczy.

Kto wie? Witwicki ma rodzinę, dającą mu niezłe utrzymanie — a potem on, Szatkiewicz, ile razy dopomagał mu w chwilach ciężkich — przed pierwszym, lub po przegraniu w karty.

Tak — poprosi go o pożyczkę, gdy wyjdą na ulicę.

Binderowi nie powie ani słowa. Binder imponuje mu swoim spokojem i szczęściem do kart i redaktora. Czuje, iż nienawidził go zawsze, a teraz więcej niż kiedykolwiek. Ileż razy Binder z zimnym, szyderczym uśmiechem poprawiał mu w „kronice", w „echach" lub recenzjach błędy stylowe i wskazywał zaniedbaną składnię. A teraz — z jaką zuchwałą miną wdziewa na siebie palto, które mu kelner przyniósł do gabinetu, tak, jakby taki Binder nie mógł się ubrać w przedpokoju, jak wszyscy.

Przytem przy kolacyi Binder coś napomykał o założeniu konserwatywnego dziennika; ma się rozumieć antysemickiego — bo inaczej w Krakowie „niema interesu“. I wszyscy mu się od tej chwili kłaniać zaczęli nisko i śmiać, gdy powiedział coś, co miało być dowcipnem...

Tylko on jeden, Szatkiewicz i drugi Witwicki zachowywali się zimno i obojętnie. Węzeł sympatji był więc pomiędzy nim i tym bladym dekadentem.

Niema więc wątpliwości, Witwicki pożyczy mu pieniędzy.

Żeby tylko miał — lecz.. i ta wątpliwość ustaje. Oto blady publicysta rzuca drzemiącemu nad starą gazetą jegomości, mającemu pieczę nad paltami i kapeluszami, aż dwa srebrne guldeny.

W Szatkiewicza wstępuje otucha.

Odziewa się sam i choć mu w głowie szumi, schodzi po schodach zasłanych dywanikiem. Przed nim, na ścianie, rozpościera się pompatycznie afisz, zapowiadający „Wieczorek humorystyczny“, afisz pomarańczowy — błyszczący zdala na białej ścianie jak okno szeroko otwarte, okno, po za którem widać łunę pożaru.

Szatkiewicz schodzi z tem wrażeniem na dół i wydostawszy się z całą bandą na ulicę, ma ciągle przed oczyma płomienny szmat, rozpływający się w oślepiającą i daleko niknącą biel.

Lecz ciemnica, panująca na ulicy, gasi płomień widziadła. — Młodzi ludzie stoją niezdecydowani i śmieją się, sami nie wiedzą z czego. On jeden zacisnął wargi i skuliwszy pięście w kieszeniach jesiennego palta, czuje jakiś bezbrzeżny smutek, wsuwający się do jego duszy.

Lecz przed nim żółtawa czerń w nocy jesiennej pogrążonego placu. Na środku, jak zwierz olbrzymi z cofniętym w tył kadłubem, majaczy teatr. Jakaś jedna latarnia migoce, przyczepiona mu do boku, jakby dogorywająca gwiazda. I jest w tym potworze coś z melancholji wielkich szpitali warjatów uśpionych w nocnej ciszy. Za temi murami słychać jeszcze tragiczne jęki i rozpaczliwe wycia. Nagle — nastąpiła noc i mrokiem narkozy uśpiła na chwilę rozpacze, łkania, gwałtowne pragnienia ..

Czuć w tem więzienie ducha — niejako ludzkości całej, okłamującej się płatnem widowiskiem wielkich bólów lub genialnych zbrodni, że i ona przechodzi bolesną udrękę. Gmach tonął w cieniu i zdawał się nie odpoczywać w śnie, lecz być dręczony ciągłą — bezlitosną zmorą.

Garstkę młodych ludzi przejął dreszcz, zimno brutalnie wtargnęło pod jesienną odzież i wstrząsnęło ciałem. Alkohol przestał działać rozgrzewająco, zęby zaczęły dygotać.

Szatkiewicz z pogardą spojrzał na kulących się od zimna towarzyszy. W tajonej złości zapragnął czemkolwiek im zaimponować.

Rozpiął z ostentacją palto i wystawił mężnie pierś, okrytą zmiętą koszulą, z której pogubił spinki, na chłód jesienny.

Na to bohaterstwo jednakże nikt nie zwrócił uwagi.

Postanowił je silniej zaakcentować.

— Zimno wam? — zapytał.

Lecz nikt mu nie odpowiedział

Zaczęto się bowiem naradzać, gdzie iść i jak noc zakończyć.

Do Bindera podsunął się współpracownik jednego z pism, będących w śmiertelnej walce z *Kurjerem Narodowym*.

— Kogo jutro będziecie rznęli? — zapytał.

Binder odparł:

— Was! Zarzucimy wam szantaż, brak czci, honoru i tam dalej — zresztą nie wiem co jeszcze... zobaczymy.

Tamten drugi się zmarszczył.

— Słuchajno!... zaczął.

Lecz Binder mu przerwał wyniośle.

— Tylko mój drogi, miej trochę kultury i nie zechciej waśni drukowanych wprowadzać do życia prywatnego.

Lecz „tamten", nie uchylając kapelusza, odszedł w stronę plant milczący, z plecami zaokrąglonemi pod wyszarzałem paltem.

Binder rzucił za nim drwiąco:

— Gniewasz się?

Ten drugi się odwrócił i odparł:

— Zobaczę jutro!

Binder wzruszył ramionami i kapelusz na bakier przekrzywił.

— Matołek! — mruknął przez zęby.

Lecz już cała grupa powoli zaczęła posuwać się ku Rynkowi. Przewlókłszy się przez Szpitalną, ulicę pustą i czarną, wydostała się na Rynek i bezwiednie, jakby mocą nałogu kierowana, szła w kierunku sklepu Hawełki.

Kłęby mgły włóczyły się po wilgotnych kamieniach. Wiatr wypadał z przecznic i przeciągał wzdłuż kamienic chromatyczną gamą. Jakaś groza panowała dokoła. W oddali migotały dwa słabe światełka. Zabłąkana doróżka stała pod Sukiennicami.

Szatkiewicz starał się pozostać w tyle sam na sam z Witwickim. Udało mu się to, gdyż blady młodzieniec, czujący instynktowny wstręt do Bindera, mimowoli odłączał się od całej gromady. Oparł się nawet na ramieniu Szatkiewicza i melancholicznie pukając laską po zamkniętych drzwiach sklepowych, wlókł swą nudę życiową i swoje lat dwadzieścia. Szatkiewicz szukał w swym umyśle punktu, z którego mógłby zacząć rozmowę z prośbą o pożyczkę. Przez całą ulicę Szpitalną myślał, jakby zręcznie ubrać brutalność treści swych słów.

Miał bowiem w sobie wielką delikatność uczuć wrodzoną, którą nic, nawet praca w *Kurjerze* wykorzenić nie zdołała.

Lecz gdy wyszli na Rynek, Witwicki wysunął rękę z pod ramienia Szatkiewicza.

— Senny jestem — wyrzekł — pójdę lepiej spać!

Szatkiewicza ogarnęła rozpacz.

— Odprowadź mnie jeszcze do tej drugiej latarni! — prosił, myśląc, że przy pierwszej latarni zdoła się wreszcie zdobyć na wykrztuszenie swej prośby.

Lecz Witwicki zatrzymał się i powtarzał z uporem rozkapryszonego dziecka:

— Pójdę spać!

I nagle krzyknął przeciągle jak puhacz, a głos jego wpadł w wicher i mgłę nocną i rozbił się o szyby zamkniętych, czarnych okien.

Szatkiewicz porwał go za rękę.

— Czego wyjesz? — zapytał.

Witwicki uśmiechnął się gorżko.

— Kultura mnie rozsadza! — wymówił, uderzając się w piersi.

Nagle umilkł i zaczął wpatrywać się w twarz Szatkiewicza, mrugać oczami i przestępować z nogi na nogę

Te same ruchy i ten sam wyraz twarzy miał w tej chwili Szatkiewicz.

I równocześnie obaj zaczęli:

— Niemógłbyś mi poży...

Urwali obaj — chwilkę zmięszani — poczem Witwicki pierwszy parsknął śmiechem.

— A to kolosalne... idę spać! — wyrzekł — i wykręciwszy się na pięcie, zginął w ciemni Florjańskiej ulicy.

Szatkiewicz pozostał sam.

Stał długą chwilę na środku trotuaru i, przejęty nagłą złością, zapiął szczelnie palto.

Z nienawiścią patrzył na oddalającą się garstkę towarzyszy z Binderem na czele.

Nikt nie zauważył, iż go między nimi nie było, nikt się nie zatroszczył ani o jego osobę, ani o to, co się dzieje w jego duszy. Po co więc z nimi spędził tyle godzin i dał im jakąś część swego istnienia?

Uczuł się sam, bardzo biedny, bardzo mały i bardzo opuszczony. Przypomniał sobie, że prawdopodobnie będzie musiał niedługo kupić sobie nowe buty i ta myśl rozrzewniła go.

On sam, w dwudziestym drugim roku, musi myśleć o sobie i kupować sobie odzienie. Alkohol rozmarzał go coraz bardziej. Czuł potrzebę wywnętrzenia się, opowiedzenia swych zmartwień. Już w szkołach dokuczali mu i niechcieli zrozumieć, że mu się zawsze w klasie spać chciało... Potem zaczął chodzić na uniwersytet, lecz mu się znudziło... Stanowczo nie wiodło mu się w życiu i nigdy mu się już chyba nie powiedzie.

Na wieży Marjackiej wybiła trzecia.

Szatkiewicz zląkł się, drgnął nerwowo i rzucił się w wąską szyję pierwszej lepszej przecznicy.

Bał się usłyszeć hejnału, który miał przywilej drażnić mu szczególniej nerwy. Lecz nie mógł uciec dość szybko od tych przejmujących dźwięków. Wypełniły nad nim przestrzeń z taką siłą, iż zdawało się, że pokryły na chwilę całe miasto gęstą chmurą tonów.

Szatkiewicz zatknął uszy i biec przed siebie zaczął. Już hejnał umilkł dawno, a on biegł jeszcze rozdrażniony, prawie nieprzytomny. Nie wiedział nawet, gdzie się znajduje. Ulice były puste. Nie spotkał na nich nikogo.

Nagle zatrzymał się.

Stał przed domem, w którym mieściła się redakcya *Kurjera Narodowego.*

W oknach było już zupełnie ciemno, tylko w pokoju, przeznaczonym na administrację, paliło się małe światełko.

I podobne było to światło do oka czuwającej żmiji, snującej w ciemni i ciszy plan śmiertelnego ukłócia, mogącej przynieść dużo tłuszczu ofiary.

Światełko było złe, podstępne, fałszywe i zdradzieckie. Knuło, omotywało, kąsało. Tymczasem miasto spało spokojnie, zmęczone i wyczerpane.

— Żmija — czuwała.

Nazajutrz Szatkiewicz obudził się z głową ciężką, z ustami pełnemi niesmaku. Zaspanym wzrokiem rozejrzał się dokoła. Zimno było w tej izdebce hotelowej, do której dzień wpadał skąpo przez niewielkie okno, wychodzące na cuchnący dziedziniec.

Meble były koszlawe, brzydkie — jedynie łóżko czyste, empire, mahoń z bronzami, dziwacznie odbijało od ścian nędznych, od całego otoczenia. Był to wspaniały mebel, olbrzymi, majestatyczny, zajmujący pół pokoju. Bronzowe ozdoby, trochę przyćmione, imponowały na ciemnem tle drzewa. Wewnątrz łóżka trochę nieświeżej pościeli, kołdra amarantowa, obszyta zmiętem prześcieradłem — a pod nią drobne i chude ciało Szatkiewicza...

Głowa młodego dziennikarza tonęła w zgniecionych poduszkach. Czerniły się tylko źdaleka jego oczy, ładne — duże oczy, rozmarzone i senne.

Machinalnie siegnął po papierosy i zapałki, lecz pozostał długą chwilę nieruchomy, z niezapalonym papierosem w ustach. Czuł, iż powinien wstać, odziać się i pójść do redakcyi, lecz czuł, że brak mu sił i chęci.

W stanie, w którym przebywał, nazywał się stan podobny „chorobą woli“ — lekarz mienił to być następstwem zaniedbanej neurastenii. Szatkiewicz zaś nie nadawał nawet w myśli żadnej nazwy swemu chorobliwemu lenistwu.

Mówił poprostu, wyciągając przed siebie ręce:

— Tak mi się nic nie chce!

Wpatrzył się w okno, z którego zwieszały się świeżo uprane, tanie i trochę sine firanki. Ten szczegół rozdrażnił go. Po co było prać te firanki? Przywykł już do ich brudnej, szarawej barwy. Komu się chciało podczas jego nieobecności zdejmować firanki z haków, prać i zakładać na nowo?

Do czego? Na co?

Powoli zaczął go znów dręczyć brak pieniędzy. Wiedział, iż powinien był dostarczyć na dziś *Kurjerowi Narodowemu* senzacyjnej wzmianki o jakiejś nikczemności żydowskiej, coś o lichwie, o jej strasznych skutkach — słowem coś zupełnie „nowego“ i „pikantnego“, na ten temat znany i zużyty przez wszystkie organa, utrzymujące się podjudzaniem i rozdmuchiwaniem plemiennej nienawiści.

Lecz antysemityzm Szatkiewicza był tylko na „tyle centów od wiersza“ — a młody dziennikarz wybrał już dużą zaliczkę. Werwy zatem nie było skąd czerpać. Zapał nie miał skrzydeł. Podciął je rachunek, który mu wykazano w administracji,

rachunek fatalny, którego w lekkomyślności swej nawet nie przewidywał. Nie mogło nawet być mowy o nowej zaliczce. Pensja miesięczna była niemal dwukrotnie przebrana. Owe pięćdziesiąt guldenów, za które miesięcznie zobowiązywał się wylać pewną dozę nienawiści przeciw żydom, socjalistom i osobom mającym nieszczęście niepodobać się redakcyi — pochłonęło dawne życie, kawiarnie, odzienie, mieszkanie, Odeon, Friedmann i inne w tym rodzaju potrzeby i rozkosze tego nędznego istnienia. Długów Szatkiewicz nie miał wiele dla tej prostej przyczyny, iż nikt nie byłby mu pożyczył ani kredytował, ze względu na niepewność odbioru. Położenie stawało się rozpaczliwe, tem bardziej, iż należało kryć się z niem tak w redakcji, jak i wśród znajomych, aby nie stracić pewnego rodzaju uroku, jaki zawsze otacza człowieka „przy pieniądzach", o co Szatkiewicz dbał bardzo — czując instynktownie, iż to stawia człowieka w korzystnem oświetleniu i dodaje mu powagi w oczach jego chlebodawców.

Tymczasem jednak leżeć w łóżku dłużej, niż do dwunastej, nie było można, pod groźbą utraty miejsca w redakcji. Zwlókł się więc Szatkiewicz: w grobowem milczeniu zaczął się odziewać. Przez firanki zamajaczyło coś i zawirowało na szybach. Jakby olbrzymi gołąb ze skrzydeł pióra otrząsał

I wtedy dopiero Szatkiewicz dostrzegł, iż w pokoju panuje dziwnie białe, przeźroczyste światło.

Szybko zbliżył się do okna i podniósł firankę.

Dach frontowej kamienicy, który Szatkiewicz miał przed oczami, pokryty był grubą, czystą warstwą śniegu.

Szatkiewicz oczy przymknął i pozostał tak chwilkę, trzymając w ręku zwieszone ku ziemi szelki. Na jego chorą i przeczuloną naturę śnieg działał tak, jak na każdego nerwowca. W tej chwili ciągnęło go gdzieś daleko — w góry, czy w stepy — nie wiedział, tylko tam, gdzie było dużo śniegu, zasianego brylantami iskier i gdzie dzwoniły w oddali sunące a niewidzialne sanki...

Stuk do drzwi przerwał to śniegowe rozmarzenie.

Przez wpół otwarte drzwi kelner wsunął głowę

Szatkiewicz wstrząsnął się cały. Codzień rano pojawia się ta jasno-kasztanowata głowa, o płaskiej, nic nieznaczącej masce twarzy i Szatkiewicz słyszy głos:

— Czy mam podać rachunek?

Lecz dziś dzieje się przeciwnie.

Kelner nie mówi nic o rachunku, tylko rzuca następujące słowa:

— Jakaś panna jest przed bramą i chce się z jaśnie panem widzieć!

Jaśnie pan kiwa głową:

— Powiedz, że zaraz zejdę!

— Dobrze jaśnie panie!

Kelner znika. Szatkiewicz zaczyna się odziewać, ale bez pospiechu. Wie dobrze, kto czeka na niego przed bramą. Będzie musiał kłamać, dlaczego nie przyszedł po nią do teatru.

Ta kobieta nie może zrozumieć, że jemu się nic nie chce — nawet jej samej, jej ładnych oczów, jej pociągającego uśmiechu...

Mimo to — zaledwie umyty i prawie nieuczesany, schodzi na dół po brudnych schodach, zasłanych dywanami.

W bramie kłóci się czeski portjer z jakąś służącą i wymyśla jej za to, że przeszła „paradnemi“ schodami:

— To dla jaśnie państwa — krzyczy — a dla zwirząt i służby tamta schoda od zadu!

Nie wita ukłonem Szatkiewicza — spogląda tylko na niego z pod groźnie namarszczonych brwi. Szatkiewicz nadrabia fantazją i przechodzi przez bramę, wywijając laseczką.

Wreszcie, przed wystawą fotografij, tuż na rogu hotelu, dostrzega czekającą na niego kobietę.

Wtenczas przyspiesza kroku.

Instynkt wrodzony każe mu być delikatnym nawet względem takiej „niej“.

Ona — widzi go zdaleka, lecz nie podchodzi, czeka, jakby trochę zmięszana i zalękniona. Gdy

Szatkiewicz jest już tuż przy niej, podnosi na niego swoje wielkie, piwne, zmęczone oczy i pyta:

— Nie gniewasz się pan na mnie?

— Za co?

— Za to, że posłałam po pana na górę!

— Nie — ale mogłaś zajść sama. Byłabyś się, zagrzała, napiła herbaty .. Kazałbym przynieść ciastek... Może pójdziesz, co?

Wie z góry, że mu odmówi i nie pójdzie za nic do jego mieszkania, lecz, nie czekając na jej odpowiedź, zaczyna iść pospiesznie w stronę Rynku, zmuszając i ją w ten sposób oddalić się od hotelu. Ona idzie obok niego, albo raczej za nim, starając się nie zabłocić bucików w topniejącym wzdłuż trotuarów śniegu. Niewiele dostrzedz można jej twarzy pomiędzy rondem ciemno-granatowego kapelusza, silnie nasuniętego na oczy, a brzegiem wysoko podniesionego kołnierza czarnego żakietu, okładanego imitacją karakułów. Rysy jednak są dość regularne, nosek trochę zadarty, cera matowa, kredowo biała, usta małe, trochę wycięte w podkowę i silnie pociągnięte karminową pomadką. Jest wysoka, dość chuda, tylko biodra ma silnie rozwinięte i idąc kołysze niemi z pewnym leniwym wdziękiem.

Szatkiewicz jest od niej niższy wzrostem. i w ogóle niknie i drobnieje, pomimo, że wyszedłszy na ulicę, przypomina sobie, iż jest współ-

pracownikiem *Kurjera* i powinien mieć „tęgą" minę. Wydyma więc piersi, podnosi ramiona i idzie z miną pogromcy dzikich zwierząt.

Wychodzą, milcząc, na Rynek, biały w tej chwili od śniegu. Po murach kościoła P. Maryi tulą się zziębnięte gołębie.

— Biedne ptaki! — mówi młoda kobieta, wskazując palcem w stronę kościoła.

Szatkiewicz wzrusza ramionami:

— Prosiłem cię tyle razy, ażebyś, idąc ze mną, nie ukazywała palcem przedmiotów...

Kobieta rumieni się gwałtownie.

— To może dobre na scenie, ale nie na ulicy! — ciągnie dalej Szatkiewicz.

Chwila milczenia; idą znów dalej, mijając sklepy. Wreszcie ona odzywa się nieśmiało:

— Pan dziś w złym humorze?

— Tak!

— Panu się co nie udało?

— Nie!

— A dla czego pan wczoraj pod teatr nie przyszedł?... ja na pana czekałam!

Szatkiewicz ma ochotę krzyknąć na całe gardło przeraźliwym głosem, że mu się nie chciało, że wolał pójść do knajpy, pić i ogłupiać się w towarzystwie Bindera i Witwickiego, lecz prawie bezwłasnowolnie odpowiada:

— Pracowaliśmy długo w nocy, w redakcji, pisaliśmy... mamy teraz bardzo ważną i pilną robotę.

Wchodzą teraz pod arkady Sukiennic. Czarna przepaść, obsadzona kramami, majaczeje przed niemi we wnętrzu budynku. Zimno, wilgoć, oszukaństwo codziennej nędzy zda się czyhać w ciemnicy. Zdaleka słychać nawoływania żydówek, zachęcających do kupna przechodzące chłopki. Na samym brzegu jasna trzcina ustawionych w pierwszym kramie koszów, zadziwia swą niepokalaną świeżością wśród ciemnej szarości bezbarwnej reszty otoczenia.

Śnieg przestał sypać i poza oknami podarkadowych magazynów towarzy są eleganckie i barwne. Kwiaty całemi pękami wyrastają z zieleni. Gdzieniegdzie za szybą widać ametystowy fiolet aksamitnego kapelusza, lub całą kaskadę bladozielonej krepy.

Szatkiewicz zwolnił kroku dla dwóch przyczyn. Po pierwsze chciał opóźnić chwilę swego przyjścia do redakcji — po wtóre, gdy miał tę kobietę koło siebie, było mu zawsze spokojniej i raźniej na świecie. Odpoczywał przy niej i chwile tego odpoczynku pragnął teraz przedłużyć.

Ona szła jakby zamyślona i daleka w tej chwili od niego i od tego, co ją otaczało. Nagle spytała go, utkwiwszy oczy w kamienie:

— Ja... chciałabym się pana o coś zapytać!

— Pytaj!

— Pan to musi chyba najlepiej wiedzieć... Czy to prawda, że jutro będą bić żydów?

Szatkiewicz wzruszył ramionami.

— Niewiem, skąd ci to przyszło?

— Tak... mówili...

— Może — a zresztą co tobie do żydów?

— Nic... tak sobie.

Wyszli z pod arkad i kierowali się w stronę ulicy Szewskiej.

— A potem — zaczął znów Szatkiewicz — skąd ci się wzięło to, że ja powinienem wiedzieć o tem, kiedy żydów bić będą?

Kobieta milczała krótką chwilę lecz wreszcie odparła, opuszczając nisko na piersi głowę:

— Bo pan pisze w takiem piśmie, gdzie ciągle na żydów wymyślają.

Szatkiewicz ramionami wzruszył

— No to i co z tego?

— Nic... ja tak myślałam...

Śnieg znów sypać zaczął. Ona otworzyła nad głową zniszczony półjedwabny parasol, lecz widocznem było, iż mimo chęci nie śmiała się przybliżyć i ochronić nim od śniegu Szatkiewicza.

Weszli już w Szewską ulicę. Minęli rogowy magazyn, w oknie którego porozkładały się barwne motyle — ogromne japońskie parasolki

Na drugim rogu, za wielką lustrzaną szybą, unieruchomione w dziewiczej pozie posągi Marji, bielały z daleka, jak całe serje widziadeł nagle skamieniałych wpośród adoracji przechodzących tłumów.

Szatkiewicz nagle zapragnął ciszy, spokoju, ciepła jakiegoś zamieszkałego kąta. Śnieg zasypywał mu oczy, wpadał mu za kołnierz, mroził go swą wilgocią. Od strony idącej obok niego kobiety płynął jakiś prąd, którego zrozumieć nie mógł, ale który czuł wyraźnie, pomimo zimna i wstrząsających nim dreszczów.

Wiedział, że wejdzie za chwilę do redakcji, rozgrzeje się, zobaczy ludzi — i później pozostanie sam na długie popołudnie, sam ze swoją troską; bez żywej przychylnej duszy, bez dobrego słowa.

I rozpaczliwie prawie zwrócił się do chórzystki:

— Ja przyjdę do ciebie dziś po obiedzie!

Po twarzy jej przemknął cień niepokoju.

— Niech pan nie przychodzi... ja nie mieszkam sama — ja pana nie mogę przyjąć...

On usta wzdął ironicznie.

— A! rozumiem... pani nie jesteś sama... przepraszam!...

Udawał, że chce odejść i uchylał z przesadzonym szacunkiem kapelusza. Lecz ona pochwyciła go za rękaw od palta, nagle cała różowa od gniewu i wstydu.

— Co pan sobie pomyślał? — spytała z niezwykłą u niej gwałtownością.

— Nic...

— Nic! Ja muszę, ja chcę wiedzieć całą prawdę... Pan pewnie myśli, że ktoś ze mną mieszka, ktoś, co ma do mnie prawa...

A widząc, że Szatkiewicz nie odpowiada, dodała prawie ze łzami:

— Niech pan powie, czy pan tak brzydko o mnie myśli?

— Może...

— To pan źle myśli, bo tak wcale nie jest... Ja mieszkam wprawdzie nie sama... ale z rodziną...

Szatkiewicz ironicznie zmrużył oko.

— Gdyby tak było, dlaczegobyś mnie przyjąć nie chciała...

— Bo...

Zacięła usta w uporze niewytłómaczonym, wargi jej drżały, ręce kurczyły się koło rączki parasola i w fałdach sukni.

On udawał znów, że odchodzi.

— Żegnam panią!...

Kobieta szybko podniosła na niego wielkie, smutne źrenice.

— To ja pana już nie zobaczę?

— A no — sama pani tego nie chcesz...

Chwilę milczała jeszcze, jakby walcząc ze sobą, wreszcie wyrzekła:

— To niech pan przyjdzie dziś o trzeciej, Grodzka ulica — 72-gi numer — na drugiem, w oficynie...

I odeszła — niepodając mu ręki, jakby uraza za to wymuszenie na niej przyjęcia go w jej mieszkaniu była silniejszą nad uczucie, jakie miała dla niego.

Śnieg padał coraz gęstszemi płatami i znów zaczynał zaścielać trotuary.

Przemokły, zziębnięty, jak wróbel wypędzony z gniazda, otworzył Szatkiewicz drzwi, prowadzące do redakcji.

Wchodząc na próg, odczuł, iż wydarzyła się tak zwana w redakcji „katastrofa".

Wszyscy bowiem współpracownicy siedzieli grzecznie przy swych biurkach i mieli nosy pogrążone w manuskrypta. Ciemno było w lokalu redakcyjnym, który mieścił się na jednej z wąskich uliczek Krakowa, oczekując chwili, w której *Kurjer Narodowy* rozłoży się z pychą i pompą w jakiem pryncypalnem miejscu i stamtąd pluć będzie na wszystkich tych zwłaszcza, którzy bronić się nie mogą, lub stoją na zawadzie do zdobycia większej ilości prenumeratorów.

Trzy pokoje, o ciemnych, smutnych tapetach, okna nie osłonięte firankami, masa papierów po-

rozrzucanych na podłodze, szereg lamp, przygotowanych do wieczornej pracy, dym tytoniowy i woń świeżo rozlanej nafty — znajomą harmonią powitały i objęły Szatkiewicza.

Biurko Bindera, większe i porządniejsze, królowało w drugim pokoju, pomiędzy kilkoma nędznemi biurkami, założonemi ćwiartkami papierów i gazetami. Na biurku Bindera stała lampa, pokryta czerwonym, papierowym abażurem. I ta nuta jaskrawa, prawie wesoła, dziwiła w atmosferze filisterskiej, a raczej rzemieślniczej pracy, która panowała dokoła.

Szatkiewicz objął to wszystko jednem spojrzeniem, gdy zdejmował palto w przedpokoju ciągnącym się długim kurytarzem wzdłuż wszystkich pokoi.

Drzwi od administracji, mieszczącej się w trzecim pokoju, były także na rościeź otwarte.

Dwóch parobków kleiło bandy — przy długim stole stało kilku ludzi, rozmawiając żywo. Wyróżniała się między nimi długa i niepomiernie cienka sylwetka administratora. Mówił coś, gestykulując po teatralnemu. Szatkiewicz, na którego nerwy gesty te działały w niepojęty sposób, pragnąc uniknąć jego widoku, wszedł do redakcyjnych pokoi.

Binder stał koło swego biurka i dopalał papierosa. Przed nim, na krzesełku, siedziała kobieta,

owinięta w bardzo kosztowną rotundę. Włosy miała jasne jak len, i zczesane wysoko nad karkiem. Ciemno-zielony, aksamitny baret przystrojony był dużą, cieniowatą egretą. Siedziała jak tancerka, wyciągnąwszy nogi, obute w świeże buciki. Rotundę, podbitą białą angorą, a przybraną bobrowym wysokim kołnierzem, rozrzuciła dokoła siebie z pychą parweniuszki. Prawą rękę, na której dzwonił klasyczny, złoty łańcuch, ozdobiony brelokami, położyła na brzegu biurka.

Zdaleka robiła wrażenie elegancji i taniego szyku.

Binder pochylił się ku niej i kończył zaczętą rozmowę. Wyciągnął jednak rękę do przechodzącego Szatkiewicza, który skłonił się przed jasnowłosą damą.

— Więc nie chcą pani angażować! — kończył w formie pytania Binder.

— Nie — powiedzieli, że za nic w świecie.

— Zobaczymy, kto kogo zwycięży!

Dama zaczęła mrugać z niepokojem oczami.

— Cóż zrobicie?

Binder wydął pogardliwie wargi.

— Będziemy ich tak szarpać, tak ciąć bez litości — wszystko — repertuar, sztuki, aktorki, że wreszcie ulegną i przyjmą panią z otwartemi rękami.

Lecz aspirantka do sceny nie zdawała się wierzyć w skuteczność podobnego systemu.

— Proszę pana, oni mnie jeszcze więcej znienawidzą — zaczęła wreszcie — i wtedy już mnie za nic nie przyjmą.

Binder wzruszył ramionami:

— Pani jesteś jeszcze bardzo naiwna. Pani nie wiesz, że nękaniem można zrobić wszystko. My panią wzniesiemy na pierwszorzędne stanowisko.

— Kiedy już zajęte...

— My je opróżnimy. Panno Trianon, niech pani będzie spokojna — nie upłynie miesiąc, a pani będziesz pierwszą bohaterką naszej sceny.

I zwróciwszy się ku Szatkiewiczowi, zawołał:

— Panie Szatkiewicz! Proszę tu na słówko.

Szatkiewicz zbliżył się bez pośpiechu.

Nie lubił owej panny Trianon, przychodzącej często do redakcyi i pragnącej protekcjami wcisnąć się do teatru. Przytem ona traktowała go zwykle z góry i to mu sprawiało dokliwą przykrość.

Binder jednak pociągnął go za klapę od kurtki i wsunął się razem z nim we framugę okna.

— Co dziś grają w teatrze?

— Powtarzają sobotnią premierę.

— Trzeba sprawić porządne lanie.

— Recenzja już była po przedstawieniu.

— Co to znaczy? Dziś wziąść się naprzód do dyrekcji, potem do aktorki, grającej główną rolę.

Szatkiewicz ramionami wzruszył.

— Jakże to zrobić? W poprzedniej recenzji pochwaliłeś ją pan.

— To też dziś podpiszesz ją pan i odsądzisz ją od czci i wiary. *Carte blanche!* Redaktor jest tego samego zdania. Po łbie — od razu... nie szczędź pan nawet ordynarnych słów. To na naszych czytelników dobrze działa.

Szatkiewicz z rezygnacją kiwnął głową.

— Dobrze.

Po chwili jednak dodał:

— Ja przecież bardzo lubię jej grę...

Binder rzucił się niecierpliwie:

— Tu nie chodzi o to, co pan lubi, albo czego pan nie lubi — tu chodzi o to, ażeby panna Trianon dostała się na jej miejsce. Zrozumiałeś pan?

— Zrozumiałem.

— A teraz siadaj pan i pisz recenzyę. Możesz nawet nie iść dziś do teatru — po co?

I zwrócił się do aktorki, która powstała z krzesełka i gotowała się do odejścia.

— Pani odchodzi? — zapytał, podając jej rotundę, która zsunęła się z jej ramion — a wieczorem czy mogę zobaczyć panią?

I pochylając się ku niej, dodał:

— Bądź mi pani na foyer — ja tam przyjdę

w drugim antrakcie, zbierzemy jeszcze jaką paczkę i pójdziemy na kolację.

Trianon roześmiała się wesoło.

— Chętnie! Ale — gdzież redaktor? Chciałabym się z nim zobaczyć.

Po twarzy Bindera przemknął cień ironji.

— Redaktor trochę cierpiący, nie wychodzi z domu!

— A tak? Szkoda — przyjdę jutro.

— Do widzenia, do wieczora.

Przemknęła pomiędzy stolikami i krzesłami dość zręcznie, wywracając po drodze trzy kosze z papierami i dwa krzesełka. Wreszcie z szelestem zniknęła w kurytarzu.

Po odejściu aktorki zupełna cisza zapanowała w redakcji. Wszyscy siedzieli cicho na swoich miejscach, tak, jakby lękali się spojrzeć sobie w oczy, aby nie parsknąć śmiechem, lub nie zdradzić się z rodzajem małpiego zadowolenia. Zamknięte drzwi, prowadzące do pokoju redaktora, tajemnicze były i zagadkowe. Piszący wiedzieli, iż poza temi drzwiami niema nikogo, że redaktor pozostał w domu wskutek wieczornego „zajścia" z kilku silnymi przedstawicielami partji przeciwnej. Niemniej przeto duch jego pokutował poza drzwiami i zmuszał gadatliwe zwykłe grono do milczenia. Jeden Binder stał koło okna i, paląc papierosa, skrzypiał butami.

Na jego wąskich, kształtnych ustach, okolonych jasnym zarostem, trochę wyskubanym na szczękach, przewijał się nie tajony uśmiech ironji.

On — miał to stanowisko, że nie potrzebował się liczyć z redaktorem, ani z jego duchem pokutującym poza zamkniętemi drzwiami pokoju redakcyjnego.

Szatkiewicz zasiadł do pisania owej teatralnej „wzmianki", ale bez żadnej pasji i zamiłowania. Miał bowiem jeszcze słabą nadzieję, że zobaczy się z redaktorem i może w rozmowie zdobędzie się na prośbę o zaliczkę. Teraz wobec katastrofy, jaka nastąpiła wczoraj, należało odłożyć tę prośbę na później; kto wie — może zaniechać jej zupełnie.

Jakkolwiek katastrofy owe powtarzały się dość często i zaczynały powoli wchodzić w stałą i perjodyczną rubrykę faktów redakcyjnych, jednakże wywoływały jeszcze pewną senzację, tembardziej, że redaktor, udając się do c. k. Prokuratorji i poszukując na tej drodze zadośćuczynienia, miał przez czas dłuższy wskutek procedury sądowej rozdrażnione nerwy i humor nieszczególny.

Zastępował go wówczas w stosunkach ze współpracownikami Binder, a Szatkiewicz nigdy i za nic w świecie nie upokorzyłby się przed tą pełną arogancji twarzą. Siedział więc teraz nachylony nad biurkiem i pisał, pisał obojętnie, zniechęcony, podparłszy leniwie głowę ręką, z .oczyma wpół-

sennemi, z wargami obwisłemi, jak u zaspanego Hotentota...

Nagle poza plecami swemi posłyszał półgłośną rozmowę. Był to kronikarz, który przyszedł z miasta z paczką jałowych nowin i brukowych plotek. Stał przed Binderem i zdawał mu relację ochrypłym głosem. Lecz Binder wzruszał ramionami. To wszystko było na nic, bez nerwu, bez senzacji, bez skandalu, a zresztą dzienniki wieczorne taką jałowiznę wezmą dla siebie. Lecz do mówiących podszedł teraz mały, rudy jegomość, ze śpiczastą, koźlą bródką.

Szatkiewicz posłyszał jego głos syczący i dziwny.

— Wiecie, strejk skończony.

Kronikarz rzucił się jak oparzony:

— Nieprawda... kiedy?

— Przed chwilą. Strony doszły już do porozumienia. Trzeba artykuł o zgubnych skutkach strejku cofnąć. Strejkowicze uzyskali to, co pragnęli. Nasz artykuł nie będzie miał sensu.

Lecz Binder rozkazującym ruchem rękę wyciągnął:

— Daj mi pan manuskrypt, ja go przerobię!...

Rudy jegomość zaczął się śmiać drwiąco:

— Niby z fraka — czamarę. Jakże?

— To już nie pana rzecz, a moja. Z pana nigdy nie będzie porządny dziennikarz. Pan nie umiesz skorzystać z okazji i kołdrę na swoją stronę prze-

ciągnąć. Ja panu takie cacko z tego artykułu zrobię, że będziemy mieli nowy napad i ze cztery procesy...

— He! he! Nie wierzę!

Binder zaczął się unosić:

— Dlatego, że pan sam niemasz zmysłu orjentującego się, to i drugim go chcesz odmawiać. Teraz napadniemy na agitatorów i prowodyrów strejku, że strejk był źle prowadzony i że można było przy dobrem kierownictwie uzyskać wiele! wiele dla strejkujących.

Mówiąc „wiele“ — zakreślał szerokie koło jakichś mitycznych bogactw i nadzwyczajności, które mogły spłynąć na ową walczącą czerń, a nie spływały...

Lecz rudy trwał przy swojem i teraz on ramionami wzruszał

— Ale! — wyrzekł — prawda była. Przecież oni uzyskali to, co chcieli, więc...

— Tu nie chodzi o to, co oni uzyskali, ale o artykuł, któryby walił jak obuchem w łeb — przerwał gwałtownie Binder — chodzi o to, aby odrazu, podczas radości z wygranej walki, rzucić w mózgi proletarjatu, że dzięki temu a temu pokrzywdzono ich, bo mogli dostać więcej...

Zamilkł na chwilę — poczem dodał:

— O co właściwie idzie? O walkę przeciw

Ptaszkowskiemu i zgniecenie jego popularności. Należy kota ogonem obrócić. Zrozumiano?

Szatkiewiczowi słowa Bindera wydały się marne i głupie.

Po co ja tu siedzę? — myślał — darmo przecież pracuję. Niemam ani centa w kieszeni!...

I rzucił ze złością pióro, a ćwiartkę papieru chciał podać Binderowi.

Lecz namyślił się. Nie miał ochoty nic robić, wiedział, że Binder zaraz „zada" mu inną pracę. Wolał więc siedzieć bezczynnie z pochylonym grzbietem i wpatrywać się w błękitną bibułę, rozpostartą na biurku.

Senność go zaczynała ogarniać powoli. — Zdaleka dolatywały szepty rozpoczynających już pogawędkę współpracowników. Szczególniej rudy górował tu syczącą nutą ironji. I ciągle dolatywały, jak syk węża, słowa:

— Po cóż szedł sam?

— I gdzie? Na Florjańskiej...

— O której?

— O pierwszej... wracał do domu...

Szepty umilkły — wreszcie reporter jakiś zaszeptał z kąta pod piecem:

— A nam zawsze doradza, żebyśmy nigdy w pojedynkę nie chodzili, tylko co najmniej we dwóch...

Więcej już Szatkiewicz nie słyszał.

Raz jeszcze otworzył z wysiłkiem oczy i wpatrzył się w świeżo zapisaną karteczkę.

Przed nim — jego własną ręką nakreślone, migotały słowa paszkwilu, napisanego za przejedzone już dawno pieniądze.

Ogarnął go wielki smutek i znużenie, głowa opadła mu na kant biurka i znużony nocną hulanką, zdenerwowany, zgłodzony i zrozpaczony — zasnął.

— Może pan jeszcze się kawy napije?

— Nalej!

Młoda kobieta nalała kawę i przysunęła cukier i koszyczek z ciastkami.

— Jaki pan dobry, że pan chce u mnie jeść! — wyrzekła z wielką wdzięcznością w głosie.

On powstrzymał się całą siłą woli, ażeby nie wyciągnąć łapczywie ręki do tych ciastek, które, poukładane w drucianym koszyczku, nęciły go zapachem świeżego pieczywa.

Od wczoraj była to pierwsza ciepła strawa, jaką miał w ustach. Filiżanka gorącej kawy wprawiła go w rodzaj ekstazy. Było mu dobrze, cicho i błogo w tym małym pokoiku, czystym i biednym. Z głupią słodyczą wpatrywał się w małe lusterko, zawieszone nad komodą, pokrytą szydełkową serwetą. Na komodzie stała maszynka do spirytusu, pudełka z drobiazgami, muszelkami wysadzana szkatułeczka, słoik z cold-creamem, jaskrawe papierowe kwiaty i flaszka z teatralnem bielidłem.

Na parawanie, obciągniętym białym muślinem, wisiała różowa, tarlatanowa bluza, naszyta u dołu srebrnemi blaszkami. W świetle płonącej na sto-

liku lampy, blaszki migotały zdaleka wabiącym blaskiem. Przypominały kulisy, różowe trykoty, blond peruki — sztuczne, księżycowe oświetlenie. I choć nic oprócz tej ubogiej kostjumowej szmaty nie miało tu cech artyzmu i kultu dla sztuki, jednak i to już wystarczało, aby zaznaczała się nuta cygańska, aktorska, szychowa i rozpaczliwie nędzna.

Szatkiewicz siedział na kanapie starej i wytartej, okrytej dużym, ciepłym pledem.

Plecy miał oparte o poduszkę haftowaną na kanwie, spłowiałą i śmieszną. Pił znów kawę, teraz już wolniej, gdyż pierwszy głód zaspokoił i wzrok jego przeniósł się na stojącą przed nim kobietę.

Była ubrana starannie, widocznie na jego przyjęcie, w bluzce różowej, cokolwiek u szyi zniszczonej teatralnem bielidłem, tłustością i różem. Nie miała kształtów wysmukłej dziewczyny. Była chudą, a nie smukłą. Jakieś znużenie w pochyleniu pleców, w opuszczeniu rąk, kazało przypuszczać, że ta kobieta już przeszła dużo, zanim zamieszkała w tym cichym pokoiku, gdzie tak jasno płonęła lampa, odbijając się w deszczu srebrnych blaszek, zdobiących dół jej teatralnej sukienki.

Twarz jej, wyzwolona z ram kapelusza i futrzanego kołnierza, przedstawiała się teraz, jak twarz jakiegoś widma dziwnie bladego i niezwykle pięknego. Twarz ta miała kształt trójkąta i odzna-

czała się tem, że wszystkie rysy zaznaczone były zdecydowanemi linjami prostemi. Jedynie usta, zazarysowane w półkole, odbijały linję zmęczenia i bezustannej troski na matowej białości tle twarzy. Oczy zdawały się jeszcze większe i głębsze w oświetleniu sztucznem. Cała ta twarz wreszcie delikatna, niemal prerafaelicka, o czole tak jasnem, jak u Dziewic Ghirlandaja, domagała się obramowania welonu z cienkiej wełny — tak cienkiej, żeby ją całą sztuką można było przesunąć przez koło ślubnej obrączki.

Powoli młoda kobieta odwróciła się od stołu i podeszła ku naszytej blaszkami sukience. Stała chwilkę, jakby zakłopotana, poczem zwróciła się do Szatkiewicza, który ciągle wpatrywał się w nią przygasłym wzrokiem.

— Pan pozwoli, że ja tę sukienkę blaszkami dalej będę wyszywać. To na jutro — do ostatniego aktu, a ja nie mogę oddać do krawcowej...

On leniwo podniósł rękę.

— Ależ... proszę cię...

Wzięła drugie krzesło, na którem postawiła mały spodek, napełniony blaszkami, i nawlokła igłę długą, białą nitką.

Poczem wdzięcznym ruchem pochyliła się nad delikatną, różową tkaniną, która jutrzenną mgłą pokryła jej obie ręce.

Szatkiewicz uczuł nagle potrzebę porozmawiania z tą istotą dobrą i cichą, która mu dała przytułek w swym ciepłym i zacisznym pokoiku. Wiedział o niej mało — prawie nic, poznawszy ją przez jednego z swych znajomych, który wyrażał się o niej z lekceważeniem.

Stosunek ich był dziwny, urywany, nieokreślony. On wiecznie dla niej był „panem“, który od czasu, do czasu kupował jej mały bukiecik kwiatków, lub w „separatce‘ płacił niewykwintną kolacyę. Ona — zaś dotąd nie była „ta — jego“, nawet nie liczyła się zupełnie w życiu, nie przykuwając żadnem wspomnieniem, ani zwracając myśli w chwili nieobecności.

Nie tęsknił za nią, nie pożądał jej nigdy, nie pragnął — widząc zaś na scenie, jak grywała niezręcznie podrzędne role, lub statystowała odziana niezgrabnie, analizował sam błędy jej stroju, jej ruchów, jej wymowy...

Dopiero dziś, po raz pierwszy w tem zaciszu domowem, tworzącem rodzaj sztucznej, rodzinnej atmosfery, pragnie z nią mówić, chce coś wiedzieć bliżej o niej, o jej życiu, o jej stosunkach rodzinnych.

I wpół sennym głosem mówi:

— Jak ty się naprawdę nazywasz?

Kobieta podnosi głowę, milczy, wreszcie odpowiada:

— Pan wie — Irma Passantieri.

Szatkiewicz ramionami wzrusza:

— Głupia jesteś moja droga — to imię teatralne. Ja pytam się ciebie o twoje wprawdziwe nazwisko — no... to, jakie masz po rodzicach, czy po mężu, bo kto wie — może ty jesteś zamężna...

— Ach!... Pan chce wiedzieć...

Nastaje chwila milczenia. Wreszcie Irma Passantieri (według afisza) bardzo cicho zapytuje:

— A po co to panu wiedzieć?

— Tak sobie! — odpowiada odpowiada urażony brakiem jej zaufania Szatkiewicz i odsuwa od siebie z wyrazem pogardy niedopitą filiżankę kawy.

Lecz ona — mimo iż ten ruch spostrzegła i doskonale znaczenie jego pojęła, zajmuje się dalej naszywaniem blaszek w greckie desenie cokolwiek krzywe i więcej fantastyczne niż harmonijne.

Szatkiewicza zaczyna teraz nurtować pewna ciekawość.

Dlaczego ona kryje się ze swem nazwiskiem, dlaczego nie mówi nic o sobie. Nawet tam w „seperatce“, wypiwszy raz butelkę Asti spumante, zacięła usta i zamknęła się w milczeniu A przecież każda inna na jej miejscu, wtedy właśnie zaczęłaby opowiadać swą „przeszłość“. Jest to tradycyą uświęcony zwyczaj, od którego uwalniają się tylko kobiety „wyższe“, lub tak skryte, jak nią była widocznie Irma. Radby pytać ją powtórnie, lecz

w jej postawie jest w tej chwili, mimo pokory i słodkiego wdzięku, jakaś wielka stanowczość i energja. Ta stanowczość mu imponuje. Czuje, że w tej chwili nie dowie się o jej prawdziwem nazwisku, ale radby nie przestać mówić. Chce również słyszeć dźwięk jej głosu, słowem, wytworzyć dokoła siebie jakiś cień inteligentnego życia, w którem myśl jego poruszać się pragnie.

Ponieważ Irma niechce nic mówić o swych rodzinnych stosunkach, może łatwiej mówić będzie o teatrze.

Pyta ją więc:

— Ile ty bierzesz gaży?

Nagły błysk przesuwa się w jej oczach. Zaczyna mówić chętnie i szybko. Ożywia się nawet — rękę z igłą wzniosła w powietrze i pozostaje tak, podczas gdy usta jej poruszają się z szybkością.

Bierze zaledwie czterdzieści guldenów i za tę pensję musi ubrać się na scenę, na ulicę, żyć — zapłacić mieszkanie, światło, pranie i... jeszcze och! ma jeszcze dużo wydatków!

Wzdycha, mówiąc te słowa, ogień w oczach gaśnie — ciemne jej źrenice błądzą po ścianach, powtarza jeszcze raz:

— Dużo wydatków!...

I milknie.

On zdziwiony spogląda dokoła.

Pokoik schludny, czysty, ciepły — jasno oświe-

tlony. Jakże różny od tej nory, gdzie on spędza swoje smutne istnienie. I to wszystko ta kobieta jest w stanie mieć za czterdzieści guldenów miesięcznie. Buciki ma całe, ubrana jest zawsze dość przyzwoicie, a na ulicy nawet z pewnym tanim szykiem. On zaś zawsze winien jest swemu krawcowi, praczce — i w restauracjach, a mimo to chodzi prawie nędznie ubrany: często głodny.

Widocznie jest to także tajemnica, którą sama zna i rozumie.

— Jakże ty możesz za te pieniądze się utrzymać? — zapytuje wreszcie.

— Ciężko... — odpowiada kobieta — nieraz nawet bardzo ciężko... ale co robić U nas są statystki, co tylko mają *feu*, to tym jeszcze gorzej i ciężej. Teraz my się wszystkie bardzo cieszymy, bo będą grali taką żydowską sztukę, gdzie dużo kobiet potrzeba i dużo się razy będzie grało. To się trochę pieniędzy zarobi...

— A nikt ci nie pomaga? — zapytuje Szatkiewicz.

Ona chmurnemi oczyma spogląda w jego stronę.

— Jak to pan rozumie? — pyta.

— No... może rodzina... może jesteś rozwiedziona, albo w separacji z mężem, to masz jakąś pensję...

— Mnie nikt nie daje żadnej pensji, a rodzina to mi nie pomaga wcale — tylko ja mam z nią czasem interesa...

— Jakto interesa?

— Ano — jak pan wie, często w teatrze tego i owego trzeba... to się weźmie tu albo tam..

Szatkiewicz uradował się, że wreszcie znalazł jakąś nitkę do kłębka.

— A... więc twoja rodzina ma sklepy?

— Ma!

Rzuciła znów ten wyraz niechętnie, prawie półgłosem i zacięła usta.

Lecz on nie pytał ją więcej o nic. Uczuł się rozmarzony i senny.

Zapragnął całą siłą zasnąć tu, w tym cichym kącie. Pochylił głowę na poręcz sofy i przymknął oczy. Nagle posłyszał szelest i szmer sukni. Nie miał jednak ochoty zrobić najlżejszego poruszenia. I w jednej chwili przez przymknięte powieki, które miał nadzwyczaj cienkie i wrażliwe, odczuł, że ktoś światło lampy przysłonił.

Z pod na wpół przysłoniętych rzęs ujrzał, iż Irma zawiesiła na lampie abażur w kształcie olbrzymiego, fjoletowego bratka z pogniecionej, przejrzystej bibuły. Dolny płatek kwiatu był blado liljowy i przepuszczał światło delikatne i niezmiernie słodkie. I wszystko nagle się zmieniło w tem przyćmieniu, wszystko nabrało uroku i prawie artystycznego wdzięku. Ordynarny wygląd komody, szydełkowej serwety, parawanu połamanego, sofy, obitej drelichem — wszystko pokrył ten olbrzymi

fjoletowy kwiat, jakby płaszcz smutny cokolwiek, lecz wdzięku pełen.

I ona — ta Irma, żyjąca z czterdziestu guldenów, kłopocąca się o praczkę, światło, opał, ubranie na scenę i ulicę — wydała mu się teraz bardzo strojną i harmonijną istotą, siedzącą w oddali pod mgłą różową, zasianą złotemi gwiazdami.

Troska o pieniądze znikła również z jego umysłu. Ogarnęło go gorączkowe, senne rozmarzenie, zupełnie różne od tego, jakiemu uległ w redakcji przed trzema godzinami.

Tam zdawało mu się, że tonie w lepkiem, cuchnącem błocie. Przed nim leżał zrodzony w jego mózgu płatny paszkwil, otaczały go dokoła pragnienia pogoni za groszem, choćby kosztem życia i czci ludzkiej.

Tu — zapadał powoli w stan jakiejś wielkiej błogości. Było mu fizycznie i moralnie dobrze. Przez ścianę — po przez zamknięte i zastawione komodą drzwi, usłyszał jakieś ciche szepty i stukot miarowy, jakby kołyski. To go usypiało do reszty — jak małe dziecko. Raz jeszcze usiłował podnieść ociężałe powieki. Zabrakło mu siły i chęci. Głowa opadła mu na ramię.

Znów zasnął.

*

* *

Zbudziło go lekkie skrzypnięcie drwi — otworzył oczy, nie poruszając się. Irma stała u wpół przymkniętych drzwi i rozmawiała z kims znajdującym się poza progiem.

— Zaraz wyjdzie! — dobiegło do uszu Szatkiewicza.

Jakiś szept niewyraźny — potem znów odpowiedź Irmy:

— Niech mama idzie... już ja go obudzę!

Szatkiewicz całą siłą woli poruszył się i starał powstać z kanapy. Irma, usłyszawszy szelest, gwałtownie drzwi zamknęła i zbliżyła się do niego. Była trochę blada, znużona i miała oczy lekko zaczerwienione.

Uśmiechała się jednak z wielką dobrocią i pobłażliwością, widząc, jak ciężko było Szatkiewiczowi rozbudzić się zupełnie.

On — wstał, gładził włosy, przecierał oczy i bełkotał cały w gorączce:

— Zasnąłem... to dziwne... śpię dziś cały dzień .. musi być późno.. muszę iść do siebie...

Lecz ona starała się być gościnną:

— Może pan jeszcze chwilkę zostanie. .

Szatkiewicz jednak odmawiał, mimo iż rozpaczliwe uczucie smutku ścisnęło mu serce na wspomnienie swej nieogrzanej i nieopłaconej nory w oficynie hotelowej.

— Nie — nie — iść muszę.. Któraż to godzina?...

— Wpół do dwunastej.

— A!... tak długo spałem. A cóż ty robiłaś przez ten czas, moja biedna Ireno?

Pierwszy raz zatroszczył się o to, co ona robiła i ten słaby dowód sympatji sprawił widocznie na Irmie pewne wrażenie.

Ja... szyłam i patrzyłam na pana! — odparła z wielką prostotą i prawie dziecięcym wdziękiem.

Ujął jej rękę i uścisnął silnie, tak wydała mu się w tej chwili ładną i pociągającą. Potem podsunął do jej ust swoje oczy wpół senne.

— Pocałuj! — wyrzekł dziecinnym, rozpieszczonym głosem.

Ona, z jakąś dziwną, namiętną, długą pieszczotą, zaczęła całować jego ładne, duże oczy i miękkie rzęsy, po których przesuwała wolno swe gładkie i świeże usta

Zaszemrało znów koło dzwi wchodowych, jakby mysz mała skrobała się po nich.

Irma odsunęła lekko od siebie Szatkiewicza, którego zmysły budziły się pod wpływem gorąca, bijącego od jej całego ciała.

— Już późno! — wyrzekła, jakby z żalem.

I ona miała oczy pokryte jakby mgłą, usta rozchylone, spieczone.

Szatkiewicz obejrzał się raz jeszcze dokoła.

— Zostałbym dłużej! — wyrzekł wreszcie z pewną prośbą w głosie.

Lecz ona, posuwając go ku drzwiom, mówiła znów jedno zdanie:

— Już późno!...

Otworzyła drzwi.

W sieni paliła się mała lampka naftowa, postawiona na pace od drzewa.

W chwili gdy Irma dzwi otwierała, ktoś z pod tych drzwi umknął i wpadł do wpół przymkniętych drzwi sąsiednich.

Szatkiewicz posłyszał tylko charakterystyczne suwanie nogami, coś, jakby kłapanie za dużemi pantoflami i dojrzał małą, zgarbioną postać kobiety.

Wyszedł do sieni, lecz koło paki potknął się o coś małego, miękkiego, co mu z pod nóg ustąpiło, jakby nadeptana glina.

Pochylił się.

W słabem świetle lampy dostrzegł małego chłopczyka, w różowym fartuszku, około trzech lat mieć mogącego.

Odrazu uderzyła Szatkiewicza gorąco ruda barwa włosów dziecka. Włosy te były silnie ostrzyżone przy samej skórze, która świetlaną białością prze-

bijała wśród tej niemal purpurowej szczeciny. Z góry patrząc na malca, widziało się tylko rudo-złotą kulę jego głowiny i duże, fatalnie odstające uszy. Z pod sukienki wysuwały się nożyny w pająk zgięte, wykrzywione angielską chorobą. Dziecko było brudne i zasmarowane, jakkolwiek ubranie było na niem całe i ciepłe.

Okryte długą, szarą, włóczkową chustką, stało przylepione do paki maleńkie, biedne, ciche, skrzywione i senne.

Szatkiewicz z ciekawością, której sobie wytłómaczyć nie umiał, spojrzał na to dziecko.

Wydało mu się bardzo brzydkie i okropnie żydowskie.

Wskazał więc nań końcem parasola, tak, jak się wskazuje na sparszałe kocię, siedzące nad brzegiem kanałowej kraty — i spytał:

— Czyjże to bachor?

Po twarzy Irmy przemknęło coś na kształt wachania.

— Nie wiem .. — wyrzekła wreszcie — to pewnie sąsiadów!...

Szatkiewicz schodził już po schodach na dół.

— To żydzi mieszkają obok ciebie? — zapytał. I nie czekając na jej odpowiedź, dodał:

— Powinnaś się stąd wyprowadzić, bo to niemiłe takie sąsiedztwo!

Ona nie odparła nic, tylko, pochyliwszy się przez poręcz, świeciła mu lampą, którą wzięła ze sobą ze stołu.

Spojrzał na nią.

Była zjawiskowo ładna, oświetlona tak z boku, w swej jasnej jak zorza bluzce, wolno spadającej dookoła jej ciała, jak nocna, jedwabna, miękka koszula. Trójkąt jej twarzy nabrał jeszcze więcej ascetycznej niemal chudości i przejrzystości. Zdawała się jednem z widm Odillona Redona, majacząc tak w czerni schodowej sieni.

Obok, w jej odsuniętem ręku ciemniała transparentowo plama fioletowego motyla. Zdawało się, że to jakaś fantastyczna mara nocna, blada i o niknących konturach, złowiła olbrzymią ćmę i o północy pochyla się nad czarną przepaścią, dziwna i legendowa...

Z tem wrażeniem zeszedł ze schodów i nawet gdy zaspany stróż otwierał, wzdychając i sapiąc, bramę — nie pozbył się tego widziadła, które tak wdzięcznie w ostatniej chwili ponad nim zawisło.

Tymczasem — na górze — Irma, posłyszawszy stuk zamykającej się bramy, odwróciła się szybko ku wtulonemu w kącik dziecku:

— No co? — zapytała wnosząc szybko lampę

do pokoju i powracając do sieni — no co? — Bernardzio spać pójdzie?

Głos jej brzmiał ślicznie, miękko, pieszczotliwie. Pochyliła się ku dziecku, przygarnęła je ku sobie i wzięła na ręce. Rudy dzieciak rozjaśnił skrzywioną i biedną buzię. Zielonawe ślipki, pełne łez, zajaśniały radością.

— Mama! — wybełkotał półsenny, tuląc swą czerwoną głowinę na piersi kobiety.

Ona, osłaniając go chustką, wzięła w rękę małą, naftową lampeczkę i podeszła z nią do sąsiednich drzwi.

— Ciociu! — wyrzekła, uderzając lekko nogą we drzwi — niech ciocia lampkę weźmie i spać idzie!...

Drzwi się uchyliły.

Ukazała się w nich stara kobieta, okryta długim, watowanym kaftanem.

Na głowie miała chustkę tak silnie na oczy nasuniętą, iż tylko z pod niej dojrzeć można było krogulcowy nos i długą, pomarszczoną brodę.

— *Git!* — wyrzekła, odbierając lampkę.

Ona weszła do pokoju, drzwi za sobą na klucz zamknęła i do łóżka podeszła.

Potem — na łóżku usiadła i dziecko rozbierać zaczęła.

Ono — senne, kaprysiło.

— Cyt!... — mówiła młoda kobieta — czekaj syneczku, mama Bernardzia spać położy!...

I rude dziecko powtórzyło, nie otwierając ślipek:

— Mama spać położy!

Nazajutrz Szatkiewicza spotkało wielkie szczęście.

Jakiś dawny znajomy — który na pewien czas wyjechał z Krakowa, spotkał się z nim na linii A—B.

Ten dawny znajomy był winien Szatkiewiczowi dziesięć guldenów.

Co więcej ten dawny znajomy (o cudzie!) oddał Szatkiewiczowi owe dziesięć guldenów, zamiast go znienawidzić i „obrazić się“ na niego, jak zwykle w podobnych wypadkach bywa. Wstąpiono nawet do Hawełki i tam oblano koniakiem i Vöslauerem niezwykły fakt — gdyż sprawiedliwość przyznać każe, iż podobnego znajomego, zwłaszcza w Krakowie, znaleść trudno a nawet niepodobna..

Razem z dziesięcioma guldenami wstąpiła w serce Szatkiewicza fantazya, buta i otucha.

Postanowił nie prosić redaktora o zaliczkę, postanowił „trzymać się“, jak dotąd, tak i nadal, aby nikt w redakcji nie podejrzywał, w jakich znajduje się materjalnych kłopotach. Był jeszcze nowicyuszem świecie dziennikarskim, szczęśliwym zbiegiem okoliczności (protekcją pewnego hrabiego) dostał się do *Kuryera Narodowego*. Zdawało mu

się rzeczą straszną, fatalną nie mieć pieniędzy. Krył się z tem, jak z jakąś raną. Teraz — dziesięć guldenów umożliwiło mu egzystencję kilku dni.

Postanowił żyć oszczędnie i ciągnąć te pieniądze o ile możności najdłużej.

Szczodrze udzieloną koroną ujął sobie kelnera hotelowego, który za tę sumę postanowił odpowiadać pani gospodyni hotelu, że tego pana „z trzeciego“ stale niema w domu.

Zapewniwszy sobie w ten sposób pewny, choć chwilowy spokój, chodził teraz Szatkiewicz po Krakowie weselny i z głową cokolwiek wyżej podniesioną.

Wprawdzie ostatnie zajście uliczne jego redaktora, który dostawszy policzek, zwrócił się na drogę sądową — drażniło jego szlacheckie pojęcie o honorowych sprawach, jednak starał się oddalić od siebie i te drażniące myśli.

Pragnął za jakąbądź cenę chwili zupełnego wytchnienia, nie myślenia o niczem, uspokojenia porwanych nerwów.

W teatrze wieczorem widział „Intratną posadę“ Ostrowskiego i sztuka porwała go swoją prostotą.

Powrócił do siebie rozmarzony i leżał, całą noc majacząc o napisaniu czegoś na scenę, czegoś równie prostego a zarazem potężnego, porywającego ogromem i siłą.

Nie miał jednak tematu i myśl jego czepiała się różnych warstw społeczeństwa.

Silny dramat, według niego, można było tylko wysnuć z masy szarego tłumu, proletarjatu — sięgając do samych stron najprostszych i najciemniejszych.

Widział ten tłum dwa razy w życiu — raz rozpędzony kopytami koni żołnierskich, drugi raz na kolei, lecący z pięściami na płonące ogniem tryumfalne pochodnie.

Dziennik, w którym pracował, walczył przeciw nim, walczył paszkwilami, błotem, oszczerstwem. Przed oczyma duszy Szatkiewicza rozświecało się nagle pytanie — dlaczego, szukając siły, potęgi, słowem wrażeń szlachetnych, zwracał się właśnie myślą ku tym, przeciwko którym za liche wynagrodzenie walczyć musiał.

Niedawno z notatki, nakreślonej ręką redaktora, dość wprawnie i zręcznie ułożył paszkwilowy artykuł przeciw prowodyrowi socjalizmu. Pisząc go, czuł pewien niesmak i wstręt. Kazano mu z tego człowieka zrobić nikczemnika, żyjącego jak pasożyt z pieniędzy zbieranych dla dobra sprawy. Altruizm jego przezwano egoizmem — każde jego odezwanie się na zgromadzeniach nicowano, przerabiano, przemęczano do swych celów.

Szatkiewiczowi, w miarę pisania artykułu, brakowało werwy i siły. Czuł, że jest pigmejem, ko-

łącym spętanego lwa. Gdy oddał artykuł Binderowi, ten po przeczytaniu — wyrzekł z wymówką:

— Dlaczego pan tak osłabiłeś ton przy samym końcu? Przestałeś pan używać silnych słów. Nie widzę ani łajdactwa, ani podłości, ani zdrady kraju. To jest konieczne.. bez tego ani rusz... Zresztą ja to sam poprawię!

Szatkiewicz jednak zaczął odtąd lekko traktować i Bindera i innych współpracowników. Wydali mu się najemnymi skrybentami, pochylonymi nad zadaną im przez zwierzchnika pracą. On, bogaty w projekt napisania nowego dramatu, czegoś w rodzaju... „Tkaczów", czuł się wyższy nad nich i nad codzienne drobiazgi.

Dzienniki nadeszłe z Wiednia — donosiły o *succès destime* nowej sztuki Hauptmana.

Szatkiewicz skłonił się ironicznie, czytając owe krytyki.

— Tak zwykle bywa z wydętą sztucznie sławą, gdy ja napiszę coś w rodzaju „Tkaczów"...

Nie przyszło mu nawet na myśl, że „Tkacze" to dzieło Hauptmana.

Z niemniejszą ironią spoglądał na fabrykowanie specjalnych telegramów (ze słownikiem w ręku) i listów „oryginalnych" z Paryża.

Rozruchy antysemickie w Algierze dostarczały teraz dostatecznie żeru *Kurjerkowi Narodowemu.*

Co chwila czytać było można „żyd, żydom, żydowi, żyda o! żydzie!“ — Jeśli co czwarty wiersz nie było machnięcia tej czerwonej płachty, popłatnej i intratnej, a tak bardzo tchnącej chrześcijańską miłością bliźniego, Binder sam dodawał jakiegoś „żyda“, często *a propos des bottes*

Tego dnia w redakcji panowała posucha na zbrodnie i nikczemności żydowskie

Reporterzy nie przynieśli nic ważnego. Na razie fantazja w umysłach wyschła. Na gwałt należało mieć jakiegoś kryminalistę żyda i rzucić go na pożarcie czytelnikom.

Drejfusy napełniły już pofabrykowane telegramy i artykuły, tchnące szlachetną tolerancją i Chrystusowem: „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni“...

Lecz to było „stamtąd“ — z „przegniłej“ Francji, z „nowożytnego Babilonu“ — lecz tu, z krakowskiego bruku, należało znów coś zawichrzyć, podszczuć, podać w formie potwarzy.

I z pod pióra Bindera i jednego z uczciwych reporterów wykwitła wspaniała roślina, która w komizmie swych kształtów zatraciła nawet jad i swój cel nieuczciwy.

Przy jakiejś ulicy bowiem, — ktoś kazał szyby, powybijane wiatrem, powstawiać... żydowi!

Wiadomość więc o tym strasznym ustępstwie na korzyść żydów, o tem bezczelnem popieraniu

handlu i przemysłu nie chrześcijańskiego umieszczono na widocznem miejscu i zaczęto od słów: „Ze zdumieniem dowiadujemy się, iż p. ..., wezwał do wstawienia szyb w swej kamienicy szklarza... żyda i t. d.".

Poczem umieszczono zwykłą i już z góry, według utartej formułki napisaną litanię nienawistnych słów, które miały niby gołąb z arki Noego nieść gałązkę oliwną spokoju i jedności w i tak dość burzliwe i nie zjednoczone społeczeństwo galicyjskie.

Szatkiewicz patrzył na to i słuchał dziś może uważniej, niż kiedykolwiek.

Należał do owych, tak często spotykanych natur, które nie lubią być życzliwemi „za darmo". Nie jest to wcale objawem niskości charakteru. Bynajmniej. Podobne natury mogą być bardzo szlachetnemi, a nawet zdolnemi do poświęceń w danej chwili, nie mogą jednak zdobyć się na bezinteresowność.

Są to *au moral* ładne kobiety, które potrzebują dostać jakikolwiek prezent w zamian za swój uśmiech lub dobre słowo, choćby ten prezent był tylko bukiecikiem fiołków, lub marną doniczką biednych hiacentów.

Szatkiewicz, z wybraną naprzód pensją, nie czuł się solidarnie związany z tą redakcją, gdzie tak wspaniale zarzynano ciągle i bez przerwy żydów

— To nie pismo — to „żydobójnia“ przemknęło mu przez umysł, jak błyskawica.

Lecz w tej chwili zbliżał się do niego Binder i poufnie ujął go za ramię.

— Mam panu poruczyć jedną misję — wyrzekł przyciszonym głosem.

— O co chodzi?

— Widzi pan — zaczął Binder — ja nie mogę się w to wdawać, bo... no — słowem nie mogę. Panu to przyjdzie z łatwością. Pan masz tam jakiś stosunek w teatrze z którąś z chóru...

Szatkiewicz uczuł się zgnębionym.

Którąś z chóru! To nie brzmiało efektownie.

Zaprzeczył więc gwałtownie:

— Co znowu?.. Kto rozpuścił podobną plotkę?..

— Daj pan pokój! zaśmiał się Binder — chcesz ocalać jej honor? To zbyteczne... Widziano pana kilka razy, jak wchodziłeś do Turlińskiego... Ona szła za panem!...

Szatkiewicz oczy zmrużył i udał, że w pamięci szuka.

— Ach! tak!.. Irma, zdaje się, że ona się nazywa Irma... tak! Ale to *sans consequence...*

Obejrzał paznokcie i machnął ręką.

Sans conséquence! — powtórzył.

Rad był, że w ten sposób upokorzy Bindera, który nie umiał po francusku, jakkolwiek często

cytował Lemaitre'a, Sarcey'a i innych znanych niemal kelnerom po kawiarniach mistrzów fejletonu paryskiego.

— Otóż w teraźniejszej kampanji przeciw dyrekcji, każda wiadomość zakulisowa ma bardzo wielkie znaczenie — ciągnął dalej Binder. — Należy wyzyskać każde nieporozumienie artystów z dyrekcją, niesnaski aktorów między sobą... potem pan wie — takie domowe rozmaite wiadomości, plotki, skandale... kto z kim żyje, kto z kim zerwał... Zwłaszcza gdyby była jakaś scena trochę skandalem pachnąca, byłoby to bardzo, bardzo nam na rękę... Dawno już spokój tam panuje...

Przerwał i zaczął się śmiać sam do siebie, jakby ucieszony nagłą a sympatyczną mu myślą.

— Gdyby ich tak wszystkich udało się nam poróżnić pomiędzy sobą... i gdyby anarchia tam zapanowała na dobre — byłoby nam to na rękę... co?

Szatkiewicz skrzywił się trochę.

— To niebezpieczna misja.., — wyrzekł — pan wie, aktorzy to naród nerwowy... oni się mogą potem zemścić...

Binder parsknął śmiechem.

— To się napisze wtedy o godności i nietykalności prasy, o tem, że stanowisko krytyka jest święte — że napady dotniętych w miłości własnej

komedjantów nie mają dla nas znaczenia i pozostawiają nas... zimnymi! I rzecz skończona!

Umilkł chwilę, potem dodał:

— A co publiczność przeczyta i będzie o nich myślała, to już nasza wygrana. Zresztą redaktor sobie tego życzył i polecił mi, abym pana poprosił o to...

Poczem dorzucił niedbale:

— Redaktor mówił, że pan jeden tylko jesteś zdolny sprytnie się wziąć do tego.

Lecz Szatkiewicz zapragnął teraz wyzyskać sytuację.

— Uczynię to! — wyrzekł — „pod jednym warunkiem!"

— Jakim?

— Że ja obejmę cały dział krytyki teatralnej, a nie wzmianki jak dotąd!

Binder zmarszczył czoło.

— Tego panu przyrzekać nie mogę! — odparł wreszcie po długiej chwili milczenia — pan jesteś zbyt młody, świeżo przybyły, nie masz fachowego wykształcenia.

— O! — wyrzekł Szatkiewicz — fachowe wykształcenie... zdaje mi się, że w *Kurjerze* to zbyteczne... potem — i pan go nie masz!...

Spojrzeli sobie w oczy prosto, z nienawiścią źle tajoną. „Ten starszy" z ironiczną pogardą, zarazem

pewną trwogą przed „tym młodszym“, który umiał dokopać się w sztucznych frazesach, kradzionych u warszawskich krytyków, braku zupełnego fachowego wykształcenia; ten „młodszy“ zaś z tajoną złością małego pieska, któremu już urosły zęby i który widzi kość dręczoną i gryzioną stępionemi już zębami starszego brytana.

Milczeli chwilę, wreszcie Binder wycedził przez zaciśnięte zęby:

— Pomówię z redaktorem!

— Proszę! — odparł Szatkiewicz, pusząc się i wydymając — odstąpię w takim razie sprawozdania „z obrazów“ koledze.

Pierwszy raz zastosował do Bindera ów wyraz „kolega“. Chciał mu tem dać poznać, że uznaje się za równego mu pod względem stanowiska zajmowanego w redakcji.

Gdy Binder powrócił do swego biurka, gdzie zajął się znów fabrykowaniem sztucznego patrjotyzmu, ducha chrześcijańskiego i pogromu żydów — Szatkiewicz rozparł się na krześle i rozpoczął czytanie niemieckich dzienników. Miał z nich sfabrykować właśnie „specjalną korespondencyę“ o sztuce Hauptmana i zajęcie to dziwnie przypadło mu do smaku. Radował się, że będzie mógł sprawić „lanie“ jednej wielkości.

Ow „Zatopiony dzwon", którego zupełnie nie znał, działał mu „na odległość" na nerwy. Już raz w swoim artykule nazwał ową sztukę „niezdrowem majaczeniem". Teraz rad był, że może się powołać na samego siebie.

Dodawało mu to odwagi i siły w jego własnych oczach.

Nie mylił się widocznie i umiał odczuć pod blichtrem prawdę.

I ten głupi Binder mówi mu, że „nie ma fachowego wykształcenia".

Także! Skoro się ma zagraniczne dzienniki i jaką taką encyklopedję pod ręką, to się ma fachowe wykształcenie, a potem jeszcze ten i ów coś powie... posłyszy się, zapamięta — a potem Zalewski, Lubowski, Dobrowolski coś w Warszawie napiszą.. i złata się niezgorszą recenzję.

Przytem zaprawić to „pikantnie", dodać jakąś plotkę i można zostać nawet porządnym krytykiem..

A krytyk „teatralny" to ma swoje znaczenie. Można siedzieć w loży z wysuniętemi mankietami na pół łokcia, skrzywić się ironicznie, piorunować wzrokiem, obiecywać — och — zwłaszcza młodym aktorkom ..

Potem protegować jedne — miażdżyć, ścierać i masakrować drugie — i dochodzić tą drogą do łask, do uznania, do... wszystkiego! Byle tylko re-

daktor zgodził się na oddanie mu recenzji w zupełności.

On już także pokaże, co umie!

I umaczawszy pióro z wielkim rozmachem w kałamarzu, zaczął „jeździć po Hauptmanie“, urządzając to „jeżdżenie“ na wielką skalę i z zajadłością wytrawnego i estetycznie wykształconego konessera.

Lecz postanowienie Szatkiewicza, iż „nie ruszy" owych dziesięciu guldenów, stopniało z nadejściem wieczoru.

Zapragnął żyć i użyć rozkoszy życiowych pełną piersią.

Hulaszcza żyłka, będąca podstawą natury każdego młodego a nawet starego mężczyzny, zagrała całą fanfarą.

Noc zapadała na Kraków.

Na Rynku, po linji A-B, dzwoniły szable, włóczyły się tłumy niewyraźne, rozzuchwalone wśród nocnych cieni.

Ze sklepów oświeconych słały się jasne pasy światła na trotuar czarny i oślizgły od błota. Lecz w przejściach, prowadzących w przecznice, ciemno było i niewyraźnie. Długie szyje ulic gubiły się nagle i tajemniczo. Ludzie tam wpadali jak w otchłań i ginęli w niepewnej czerni. Nawet kroków ich słychać nie było. Nagle przemieniali się w cienie. Zwłaszcza kobiety nabierały uroku nocnych widziadeł, zaledwie zaznaczonych czarniejszą sylwetką.

W oddali żółciły się jakieś blade plamy, jakby zawieszone w przestrzeni Było to ironiczne światło

latarń, mających zupełne prawo nosić napis: „Światło — sobie!“

Szatkiewicz poszedł na linję A-B, dumny i wzgardliwy.

Bogaty był w projekt dramatu, nadzieję zostania generalnym krytykiem *Kuryera*, przytem czuł się jakoś silniejszy, pewniejszy siebie.

Sfabrykowana o Hauptmanie korespondencya dodawała mu także ważności.

Teraz — obiecywał sobie wziąć się do Ibsena.

I tak po kolei zetrze, zmasakruje każdego, kto mu się pod pióro nawinie.

Dlaczego niema tego czynić? Wszak mu to wolno. On jest tak dobrym „dziennikarzem“ w swoim rodzaju, jak i każdy inny...

Naturalnie!

Jakieś dwie dziewczyny przeszły obok niego tak blisko, że go otarły prawie fałdami swych zniszczonych sukienek. Czuć w nich było magazyn, kapelusze miały nieświeże, niemodne.

Jedna była nawet ładna. Od sklepu Rajala, z pośród fałd jasnych tkanin, biło jasne światło. Dziewczyna odwróciła się z głupim chichotem i spojrzała w oczy Szatkiewiczowi.

On, napuszony, uczuł się niemile dotknięty tą „arogancją“.

— Uważać! — zawołał rozkazującym tonem i końcem parasola usunął ze swej drogi narzucającą się dziewczynę.

Lecz znów myśl i pragnienie „zabawienia się“ zaczęła w nim nurtować. Chciał światła, muzyki, wesołości...

Do teatru! — nie! — Wiedział, że loża redakcyjna będzie według zwyczaju natłoczona, jak żydowska bryczka i dla niego nie będzie już miejsca.

A potem w teatrze się „nie bawią“. Pójdzie lepiej do Odeonu albo do Friedmana.

Chwilę zawahał się, nie wiedząc, czy ma wstąpić po kogo ze znajomych. Ale ogarnęła go nagła złość. Po co? Na co? Bawić się będzie sam. Gdy dwa dni temu był bez centa, nikt mu nie przyszedł z pomocą. Dziś on nie podzieli się tą dozą wesołości, jaką osiągnąć zamierza

Spacerował jeszcze chwilę po linji, dziwiąc się, jak atmosfera stawała się duszną i przygniatającą w moralnem tego słowa znaczeniu. Ta garstka ludzi, snująca się w obie strony, zacieśniała się coraz więcej, a dokoła nich, nad niemi, jakaś obręcz silna, potężna, niewidzialna, wykuta z niedomówionych pragnień i chęci, opasywała, odgradzała ten tłum próżniaczy i obłudny od reszty miasta, w którem zdawało się za dnia nie

być najzupełniej miejsca dla rozwijania się niezdrowej obłudy i zachcianek.

Poza linją rewerberów gazowych z jednej strony — z drugiej zaś ścianą domów, stosunkowo wąski ten pas trotuaru stanowił w tej chwili świat odrębny, przerażający milczeniem i względną ciszą, jaka na nim panowała. Ludzie snuli się cicho, kroków nawet ich słychać nie było, szelestu sukień kobiecych, gwaru ich rozmowy, lub bezmyślnego chichotu. Tylko czasem zabrzękły ostrogi, zadźwięczała szabla, dało się słyszeć jakieś głośniejsze niemieckie słowo.

I zdało się z daleka, że to cała teorya duchów pokutujących za grzechy snuje się tam i nazad w milczeniu i przymusie. A im czarniej było dokoła, im dalej w noc, tem jeszcze ciszej i ciaśniej było na tej linji A-B, targowisku próżności, próżniactwa i tlejących pod popiołem pragnień i dążności.

Szatkiewicz czuł, że powoli i jego ogarnia to błędne koło i w swe kleszcze porywa. Szedł bezmyślnie raz w tę, drugi raz w drugą stronę. Przed nim, za nim szli także drudzy, tak jak on ciemno ubrani, cisi i milczący. Popychali go jednak za sobą, ciągnęli tak, jak on ich ciągnął. Byli mu nieznani w tej chwili i zrozumieć ich nie mógł, po co oni są tu i gdzie idą, tak samo jak nie wie-

dział, dlaczego on jest tu i gdzie idzie tak po oślizgłym trotuarze, na który biją snopy swiatła ze sklepów.

I znów w oświetleniu okna Rajala dostrzegł twarz tej samej dziewczyny, która zachichotała raz jeszcze, zwrócona ku niemu. Wydała mu się teraz bardzo daleka, choć suknia jej ocierała się o jego odzież. Nie miał siły ani chęci usunięcia jej ze swej drogi końcem parasola, tak jak to uczynił poprzednio. Bezmyślnie wpatrzył się w tę jasną maskę, okoloną rozwichrzonemi, żółtemi włosami. Maska ta miała wyraz idjotycznej rezygnacji, a rozszerzone jamy oczne ciemniały, jak dwie plamy dziwaczne i tajemnicze...

Szatkiewicz szedł poza tą twarzą żyjącej kobiety, nie zdając sobie sprawy z tego, iż ten szmat ciała jest cząstką całości żywej, ciepłej i istniejącej. Ciemne plamy oczu zdawały się go hypnotyzować. Lecz nagle cała maska znikła w ciemnicy, a natomiast wystąpiła czarna sylwetka, która się cofała w głąb.

Dziewczyna wchodziła w przecznicę i roztapiała się w czerni.

Szatkiewicz nagle ocknął się i mimo woli nerwowo rzucił się w przeciwną stronę. Silnym ruchem utorował sobie drogę wśród milczących tłumów i znalazł się na flizach prowadzących do

Sukiennic. Po lewej i po prawej stronie stały czarne karawany doróżek. W świetle latarek majaczyły postacie doróżkarzy, odzianych jak uczestnicy wyprawy podbiegunowej. Jeden z nich, otworzywszy drzwiczki latarki, zapalał cygaro. Migocące światło oblało niepewnym blaskiem twarz rozzuchwalonego „kołtuna“ — twarz typową człowieka zdecydowanego na wszystko i nie bojącego się nawet „kunwissorza“.

Ku niemu właśnie skierował się Szatkiewicz. Postanowił wziąć „einspenera“ i pojechać do Odeonu.

Dorożkarz zmierzył współpracownika *Kuryera* dumnym i pogardliwym wzrokiem.

Machnął mu tuż pod nosem batem, wytarł bardzo prymitywnie nos i dwukrotnie z furją, z pasją, bez najmniejszego szacunku zapytał:

— Gdzie to jechać? Gdzie?...

Szatkiewicz uczuł się dotknięty tym tonem i z równą furją, z równą pasją odparł:

— Do Odeonu!

Doróżkarz włożył rękawicę wyłożoną futrem, obłożoną futrem i wyszytą futrem.

Trzasnął drzwiczkami tak, że cały wehikuł jęknął i zadzwonił, jak stara trumna i zaczął gramolić się na kozioł, mrucząc przytem przekleństwa i mało nastrojowe wymysły.

Siedzącemu wewnątrz dorożki Szatkiewiczowi robiło się jakoś głupio i niewyraźnie. Czuł, że ten człowiek, odziany w całe masy gałganów i siedzący do niego w niegrzecznej pozycji, dominuje nad nim nie tylko fizycznie ale i moralnie. Bo cóż znaczyła jego kultura, jego stanowisko w poczytnem piśmie, jego zgniecony Hauptman i d'Annunzio, kiedy jego przygniatał swem zachowaniem się prosty, ordynarny, kołtunowaty dorożkarz krakowski. Machał mu batem pod nosem, pluł, wymyślał, wlókł go w trzęsącem się pudle i on jeszcze musiał mu za to zapłacić „taksę“ i dodać co „na piwo“, pod grozą wysłuchania litanji obelg w formie potoczystej i wolnej.

I znów Szatkiewicz poczuł potęgę szarego tłumu, tak jak rano, gdy postanowił stworzyć dramat (coś w rodzaju „Tkaczów“).

Lecz teraz tłum ten przedstawiał mu się z innej strony.

Znikło piękno i wielkie potężne linje. Pozostała strona brutalna, trywialna, zwierzęca.

Szatkiewicz postanowił w dramacie wykazać z całą nienawiścią nikczemnienie proletarjatu, brak szlachetniejszych instynktów, słowem uczynić coś w rodzaju „Tkaczów“, ale w przeciwnej formie.

— Tak! — myślał, przytrzymując na głowie kapelusz, który w skutek wybojów i nierówności

krakowskiego bruku groził co chwila spadnięciem — tak, będę nieubłagany i studjować będę te warstwy na miejscu i dopiero po zebraniu dokumentów przystąpię do napisania szkicu. Inaczej się oni przedstawiają tak, a inaczej w rzeczywistości...

Wreszcie dorożka zatrzymała się i żyjący „dokument" z zapitą twarzą i w futrzanyeh rękawiczkach zasiadł na kożle jakby do poobiedniej drzemki.

Szatkiewicz tymczasem mocował się z popsutemi drzwiczkami, aż wreszcie, skaleczywszy sobie palec, wydostał się z koryta, nazwanego w Krakowie dorożką.

Wysiadłszy, zły i pełen nienawiści, odezwał się podniesionym głosem:

— Ty! Słyszysz!... Masz zepsute drzwiczki!

Z masy gałganów, derek i baszłyków nie odezwał się żaden dźwięk. To rozwściekłiło Szatkiewicza.

— Słyszysz, co ci mówię — masz drzwiczki popsute!

Krzyczał prawie, tak go denerwowała ta nieruchomość i widoczna pogarda, z jaką go dorożkarz traktował.

Milczenie jednak było na jego krzyk odpowiedzią.

— Drzwiczki masz popsute! — zawołał, dobywając najsilniejszego głosu, na jaki się zdobyć umiał.

Nagle kupa „odzieży“ poruszyła się. Purpurowa twarz dorożkarza zabłysła w świetle latarni.

— To i co?... Mam drzwiczki popsute, no to i tyle. A panu co do tego? — Głos dorożkarza był tak silny, iż przechodził w ryk zwierzęcy.

Na pustej ulicy zahułał ryk wspaniale i imponująco. W ryku tym dźwięczały całe wieki początkowego, przymusowego niewolniczego milczenia i wreszcie wyswobodzonej lecz zezwierzęconej w upadlającem niewolnictwie siły ślepej.

Szatkiewicz jednak nie chciał się uznać za zwyciężonego. W kupie gałganów dostrzegł nos krogulczy. Współpracownik *Kuryera Narodowego* zbudził się do czynu.

— Ty parchu żydowski! — krzyknął surowo, zapożyczając się ze słownika redakcyjnego — jak ty śmiesz odzywać się do mnie w tym tonie?

Kupa gałganów zatrzęsła się nagle. Obywatel w osobie dorożkarza uczuł się do głębi dotknięty. Jak potwór przedpotopowy dysząc, zaczął złazić z kozła. Dorożka aż jęczała pod dotknięciem jego butów, zrobionych jakby na obstalunek dla samojeda.

Szatkiewicz zląkł się ale ustępować nie chciał.

Jakichś dwóch aroganckich oficerów w klasycznych karawaniarskich szopkach na głowie zatrzymało się i przyglągało uważnie.

Doróżkarz zlazł wreszcie na ziemię i twarz swą opiłą, nabrzękłą, ku Szatkiewiczowi zwrócił.

— Jakeś powiedział? — zaczął wchodząc od razu na „ty“ i manifestując w ten sposób swe nieprzyjacielskie zamiary — jakeś powiedział? Co ja żyd? Ja — żyd?... a ty skurcona bestyjo! Ja chrześcijan... nie żyd, a ty co? Ty sam parch!...

I rękawice futrzane począł z ręki ściągać.

Szatkiewicz „stawiał się“ dalej, ale już ostrożnie, urągając szyderczym uwagom oficerów, cofał się ku sieni.

— No! no!... zdaleka! — powtarzał rejterując coraz śpieszniej.

— Ja cię, ty wątrobo żydowska, do *Kuryera Narodowego* podam, psia jucho twoja morda krzywa... Oni cię tam opiszom, jako od żydów ludziom wymyślasz...

Lecz Szatkiewicz cisnął mu na bruk koronę i — poczuwszy pod nogami próg sieni — odzyskał fantazję i odwagę.

— A idź! — krzyknął — idź, to cię ze wschodów zrzucą...

— Łżesz, żydowskie nasienie — wrzeszczał doróżkarz — to je porzomne panowie, uni się za krześcijanem ujmom i ciebie, żydowskie bołączko, z Krakowa wyśmigajom!

Szatkiewicz wpadł do przedsionka i zwrócił się do kasy.

Pusto tu było i cicho jak w grobie. Przedsionek ten robił wrażenie parowej łaźni akcyjnej, do której nikt nie chodził i akcje spadły niżej zera.

Szatkiewicz, jako współpracownik *Kurjera*, jeden „z szarego końca“ nie miał wolnego wstępu do tego przybytku wesołości i rozkoszy.

Kupił bilet i chciał wejść na dół — zawahał się jednak; poszedł na górę, na galerję, zobaczyć, czy nie ma kogo ze znajomych, z kimby się spotkać nie chciał.

Wszedł i spojrzał na dół.

Kurtyna była spuszczona.

Cała salka tonęła w jaskini cieniu i kurzu.

Na dole kilka „osób“ piło piwo, albo siedziało milcząc przy stolikach. Kelnerzy, oparci o słupy, zdawali się być lalkami z wosku.

Przy pianinie siedziało coś w rodzaju człowieka, siwe, biedne, skurczone.

Przeraźliwa pustka, nuda, czarna melancholia, wyzierały z każdego kąta tej studni ciemnej, za-

dymionej, wilgotnej. Szatkiewicz stał przez chwilę oparty o balustradę.

Stał i czuł, jak jakaś dziwna przygniatała go trwoga.

Bał się pozostać tu dłużej. To widma warjatów i pijanych szkieletów majaczyły się w przestrzeni.

Cofnął się i zbiegł ze wschodów — wypadł na ulicę i zaczął biedz w kierunku Friedmana.

Tam jest stanowczo weselej, jaśniej — potem będzie więcej ludzi.

I znów wszedł na górę, na galerję, gdzie dwie jakieś starsze damy piły piwo z jednego kufla. Usiadł tuż przy balustradzie — oparł głowę i patrzył.

Sala była stanowczo większa niż w Odeonie, widna, a nawet czysta.

Na scenie kurtyna była podniesiona i przed kinkietami z miną uczonego cielęcia jakaś niemka, niezgrabna i źle ubrana, śpiewała coś głosem podobnym do dźwięku, jaki otrzymać można przez szczęśliwą kombinację grzebienia, bibuły i ust. Na sali tu i ówdzie mężczyźni obsiedli stoliki, zapijając się piwem, w lożach poważne niemki z mężami siedziały, zaplotłszy ręce w małdrzyk i słuchając bezwstydnych kupletów, myślały o sztrudlu, który jutro miał przyozdobić obiad rodziny.

Szatkiewicz nie dostrzegł nikogo ze znajomych. Godzina była jeszcze wieczorna, ci panowie z inteligencji schodzili się dopiero później po koncercie, gdy dla publiczności zamykają się drzwi, a otwierają furtki dla pewnego sortu wybranych.

Szatkiewicz zeszedł na dół i kazał sobie dać piwa. Usiadł niedaleko sceny i założył z pańska nogę na nogę.

Na scenie podrygiwało w tej chwili pięć galicyjskich żydówek z porządnemi nosami i kędzierzawemi włosami. Ubrane były z kiepska po węgiersku, miały szamerowane dolmany, buty na krzywych nogach i na bakier przekrzywiane kołpaki, co niezmiernie śmieszne robiło wrażenie.

Tańczyły i śpiewały piszcząc, robiąc ognisty temperament, bijąc o scenę obcasami jak ochwacone klacze kopytami.

Jakiś jegomość ciemnowłosy stał w sali pod piecem i, skrzywiwszy się niemiłosiernie, szpilką od krawatu zęby sobie czyścił.

Koszlawy trochę kelner żyd podsunął się do Szatkiewicza.

— Jaśnie pan wie — zaczął konfidencjonalnie — to wszystko są prawdziwe węgierki... une takie cygańskie... węgierki.

Szatkiewicz ramionami wzruszył.

— Aha... z Brodów! — odparł głośno, usiłując się wykrzywić ironicznie.

Kelner cmoknął i śmiać się zaczął.

— Nu... niech one będą i z Brodów, co to szkodzi, kiedy one tak po węgiersku tańcujom i śpiewajom... Może jaśnie pan jeszcze piwa? a może jaśnie pan kolację?

Szatkiewicz namyślił się chwilę.

— Nie teraz...

Kelner zrobił się jeszcze więcej uniżony.

— Jaśnie pan będzie jadł kolację w gabinecie?

— Nie wiem... może...

— To niech jaśnie pan tylko zawoła mnie do usługi... Już się jaśnie pan żalić nie będzie... Jaśnie pan powie, coby Drejfus usługiwał.

Szatkiewicz spojrzał na niego zdziwiony.

— Drejfus?

Kelner śmiał się i kiwał radośnie głową.

— A jakże.. tak mnie tu nazwali... Takie mi sławne nazwisko dali... czemu nie? A jest tu u nas i księżna Esterhazy... una nie żadna księżna, una taka *Kupletsängerin*, ale goźcie ją także nazwali księżna Esterhazy... Może jaśnie pan chce się z nią poznać?

Lecz Szatkiewicz głową wstrząsnął — nie, nie — on nie chciał poznać księżnej Esterhazy...

Ramionami z pogardą wzruszył, to nie dla niego taka jakaś...

Ale kelner Drejfus nalegał.

— Dlaczego pan nie chce? To bardzo fajn pikantna wiedeńka. Ona trochę szczupła w sobie, ale ona podobna tu do bardzo jednej wielkiej damy z arystokracji i dla tego ona codzień jest na kolacji...

Szatkiewicza uwagę pochłonęła teraz scena i śpiewaczka, która zajęła miejsce węgierki.

Była to rosła, piękna kobieta, nadzwyczaj elegancko ubrana, obwieszona biżuterją — dość rasowa, pokaźna w swej gorąco żółtej, pluszowej długiej sukni, rozciętej na boku i bramowanej drogim, srebrno złotym haftem.

Kształtna noga, odziana w jedwabny czarny trykot, haftowany srebrnemi blaszkami, wysuwała się długa i prosta z fałd żółtego pluszu. Na głowie śpiewaczka miała ogromny, czarny tiulowy kapelusz, zasiany żółtemi ptakami, które na tle tiulu rozpinały swe skrzydła, jakby zrywając się do lotu.

Kelner aż chrząknął z radości i machnął serwetą.

— To księżna von Würtemberg... — zawołał — ją także goście tak przezwali. To przyjaciółka od tej księżny Esterhazy. Ona dziś ma trzy zaprosze-

nia na kolację, ale ona pewnie nigdzie nie pójdzie, bo ona bardzo grymaśna!

Szatkiewicz milcząc przypatrywał się śpiewającej na scenie kobiecie.

Rysy jej twarzy były wybitnie żydowskie, ale dziwnie majestatyczne i kształtne. Olbrzymie oczy miały w sobie leniwy spokój źrenic dobrze odżywianych i wyspanych odalisek haremowych. Śpiewała źle — ale nikt nie słuchał tego, co śpiewała. Każdy patrzył i oczyma pożerał literalnie tę kobietę, mającą w sobie czar zbytkownego przedmiotu, wystawionego na licytację w jakimś brudnym zakątku lombardowym.

Szatkiewicz poczuł także ten prąd, który ze sceny biegł teraz ku niemu. Ta cudownie piękna żydówka, zawodząca płaczliwie jakieś wesołe kuplety, zbudziła jego nerwy i pragnienia. Kilka guldenów, które miał w kieszeni, trzymały go jednak na uwięzi. Kolacja! Hm — owa „księżna von Würtemberg" — cała ubrylantowana, parsknęłaby, mu śmiechem w oczy, gdyby tylko dostrzegła, że i on po nią rękę wyciąga.

Nie — nie dla niego nędzarza ta uroda, ten blask, to olśniewające ciało, przebijające pod cienką tkaniną trykotu...

Wstał — rzucił na stół guldena i kierował się ku wyjściu.

Kelner-Drejfus szedł za nim, kłaniając się i torując mu drogę wśród krzeseł i stolików.

Przechodzili koło jegomościa, który skończywszy czyścić sobie zęby szpilką od krawata — obecnie wykałaczką doprowadzał — do porządku paznogcie.

— To jenerał od tych pięciu węgierki! — szepnął Drejfus, pokazując szerokim gestem owego jegomościa.

Szatkiewicz nie odpowiedział nic, ale wyszedł na ulicę.

W piersi zawrzało mu gniewem. Nietylko że się nie „ubawił“, ale wpadł w jak najgorszy humor.

Odczuł swą nędzę materjalną bardzo głęboko i w mózgu jego zaczęły się przewijać frazesa.

— Dlaczego inni, a nie on? Dlaczego tamci mogą używać, rozrzucać pieniądze, szaleć, pić najlepsze i najdroższe wina, brutalizować kobiety?

Lecz szczególne uczucie owładnęło nim równocześnie. Zapragnął mieć koło siebie łagodną jakąś postać kobiecą — uczuć pod ramieniem swem drobną dłoń przyjazną i spokojną. Chciał być „we dwoje“ — a był sam.

Przyszło to na niego moralną chęcią, a nie jedynie zmysłową.

I bezwiednie zwrócił swe kroki w stronę teatru.

Tam bowiem była jedyna kobieta, która się nim interesowała, której mógł powiedzieć „ty“ i miał niejakie prawo pomyśleć, że była choćby chwilowo „jego własnością“.

Pod gmachem teatru snuły się cienie. Jakieś sylwetki nieuchwytne, dziwaczne.

Kilku maszynistów, w wysokich butach z cholewami, z miną zdrowych, tęgich zuchów, stało na wschodkach, rozprawiając o polityce.

Z okien garderób aktorskich szły smugi światła.

Poza storami płóciennemi, przeciętemi pasami czerwonej tkaniny, majaczyły postacie artystów. Na pierwszem piętrze, w niewielkich okienkach jasno oświetlonych, a mieszczących kancelarję, widać było dokładnie ciemne sylwetki żywo rozprawiających mężczyzn.

Pomiędzy niemi żółciła się jasna peruka kobieca i szafirowy, jasny aksamit królewskiego płaszcza, na którym różowiła się mora nagiego ramienia.

Pod oknami garderoby przytuleni do muru siedzieli mali chłopcy, zziębnięci i pokurczeni. Jeden pogwizdywał cicho — drugi dla niewytłómaczonych przyczyn powtarzał bezustannie:

— A to ci choroba!...

Opodal — stał czarno ubrany mężczyzna w miękim, szerokim kapeluszu na głowie. Był

dziwacznie skurczony i miał głowę przechyloną na prawe ramię, układnym ruchem łaszącego się kota. Gdy Szatkiewicz zbliżył się do teatru, mężczyzna ujął w rękę kapelusz i wytwornym ruchem dworzanina z czasów Ludwika XV. zamiótł nim aż po ziemi.

— Czołobitność! — wyrzekł niskim, basowym głosem.

Szatkiewicz drgnął mimowoli, jakkolwiek znał doskonale już tego łagodnego szaleńca, snującego się nocami pod ścianami teatru, kłaniającego się wszystkim z wielką kurtuazją i oddalającego się po złożeniu ukłonu wielkiemi krokami, jakby go kto gonił i do pośpiechu nakłaniał.

Szatkiewicz zbliżył zię do jednego z maszynistów i prosił go, aby tenże poszedł do garderoby panny Pasmentieri i powiedział, jej, że ktoś na nią czeka.

Lecz maszyniści obrzucili Szatkiewicza pogardliwem spojrzeniem, gdyż w ich pojęciu każdy współpracownik *Kurjera Narodowego* był „beleco“ i „taki, co nie wiele je wart, skoro w takiem tam pisać może!“

Wszyscy bowiem maszyniści, jako ludzie pracy, a nie spekulanci ludzkich namiętności, instynktem wiedzeni, stanowili partję wrogo przeciw *Kurjerowi Narodowenu* usposobioną.

— Można samemu iść do garderoby! — odparł jeden wysoki, silny, rozrosły chłopak i wróciwszy do swoich towarzyszy ciągnął dalej przerwaną polityczną gawędę.

Szatkiewicz wiedział, że za kulisy iść nie może, bo napaściami *Kurjera* na Dyrekcję i cały teatr zamknął sobie raz na zawsze drogę.

Dawniej chodził tam i bawił się doskonale w towarzystwie dowcipnych i wesołych artystów. Teraz — stać musiał za drzwiami. Zrobiło mu się niewymownie przykro. Dlaczego? Wszak on nie miał ani do dyrekcji ani do artystów żadnej osobistej urazy! Za trochę pieniędzy musiał być banitą, znosić pogardę maszynistów...

Zwrócił się więc do skurczonych u muru chłopców.

— Niech tam który pójdzie do panny Pasmantieri i powie jej, że ja na nią czekam.

Z kieszeni wyjął koronę i rzucił ją w drobną dłoń chłopca z wielką złością, chcąc w ten sposób upokorzyć maszynistów. Lecz oni nie zwracali na niego uwagi. Jeden z nich wyjął z kieszeni jakąś gazetę i pod światłem latarni czytać zaczął.

Inni słuchali go z uwagą, otoczywszy zwartem kołem.

Szatkiewicz spojrzał na grupę tych ludzi i na-

gle przyszedł mu znów na myśl chaotyczny plan dramatu, który napisać zamierzał.

Ci ludzie w ubraniach prostych robotników, ugrupowani w smudze światła płynącego na nich z góry, wsłuchani w treść drukowanego słowa, zamajaczyli mu się nagle jak ze scen przygotowujących widza do wybuchu, do katastrofy, do czegoś potężnego...

Zapomniał, że przed chwilą patrzyli się na niego złośliwie i niecierpieli go. Obecnie pochłonęli całą jego uwagę. Wpijali się mu w mózg swemi zasłuchanemi postaciami. Stawali się powoli jego własnością.

Nagle drzwi się powoli uchyliły i wyszła z nich Irma, otulona w swój żakiet z wysokim kołnierzem.

Maszyniści nie poruszyli się nawet, zapatrzeni, zasłuchani w tego, który czytał.

Irma zeszła ze wschodów i zbliżyła się ku Szatkiewiczowi.

— Jestem! — wyrzekła — domyśliłam się, że to pan po mnie posłał... Taka jestem kontenta.

Ujęła go pod rękę i pociągnęła na ulicę.

— Chodźmy — musiałeś pan zziębnąć, stojąc tak na dworze!

On szedł z nią jakby, źle jeszcze zbudzony z tej wizji scenicznej, koło której zaczynały grupować

się całym chaosem inne wizje mgliste i nieuchwytne. Lecz ona poczęła ruchem miłym troskliwej kobiety zapinać mu pod szyję palto i ująwszy jedną z jego rąk w swoje ręce, szła tak przez skwer otaczający teatr, rozmawiając wesoło i z niezwykłem u niej ożywieniem.

— Dostała rolę, nie dużą, ale bardzo ładną, rolę siostry miłosierdzia. Będzie miała kostjum z takim dużym kapeluszem białym, co to wygląda jak rozpostarte skrzydła. Reżyser powiedział, że ona będzie bardzo dobrze w tym kostjumie wyglądać bo ma... postawę, i że jeżeli się przyłoży, to będzie mogła nieźle grać.

— Pan mnie nauczy! — dodaje prosząco — pan się zna przecież i powie mi pan, jak to trzeba wszystko powiedzieć i jakim tonem, bo ja się będę bardzo bała!...

On potakuje głową.

— Nauczę cię, nauczę...

Doszli do rogu ulicy — nagle ona zwalnia kroku.

— Czy pan mnie odprowadzi do domu?

Lecz on nerwowo ściska jej rękę.

— Nie — mówi prawie cicho i błagalnie — pójdź dziś do mnie. Tak nie chciałbym zostać sam!...

W prośbie tej musi być wielki głos spragnio-

nego serca, bo Irma odpowiada po chwili z ujmującą prostotą:

— Dobrze, ja pójdę!

I poszli we dwoje do tej nory, nazwanej pokojem, mieszczącej się gdzieś pod dachem cuchnącego hotelu. Na gankach było ciemno. Kelnerzy po kątach drzemali. Wszedłszy do pokoju, nie zapalili świecy, lecz oboje jak spragnieni podróżni dorwali się do krynicy ust własnych i pili długo uspakajające pocałunki wśród szelestu słów urywanych, szeptanych głosem w ciemności drżącym.

Wreszcie, gdy on zapalił światło, oczom Irmy ukazała się cała nędza otoczenia, wśród którego dusza jej mdlała z nadmiaru cielesnego szczęścia.

Nędza wyzierała tu z każdego kąta, nędza i opuszczenie.

Dziewczyna usiadła na złamanem krześle i ze zdumieniem patrzyła dokoła.

Szatkiewicz szukał po szufladach ogarków świec.

Nie chciał dzwonić, budzić kelnera...

Wreszcie z powodu zaległości komornego spotkałaby go odmowa.

Tego afrontu chciał uniknąć za jakąkolwiek cenę.

Wreszcie Irma wyrzekła powolnym głosem:

— To pan... taki biedny!

On szarpnął się niecierpliwie.

— Nie jestem biedny... mam dobrą pensję w redakcji. Dlaczego mówisz mi, że jestem... biedny...

Ona milczała, czując, że popełniła niedyskrecję, że tem mimowolnem słowem zadrasnęła jego miłość własną.

— Nie jestem biedny! — powtórzył znów Szatkiewicz — tylko nigdy mnie w domu niema, więc niema kto myśleć o porządku...

Bał się, że ta jego nędza osłabia w jej oczach jego powagę i znaczenie, przytem lękał się, żeby jej to nie odstręczyło od niego na zawsze... Była przed chwilą tak dziwnie płonącą, namiętną — a teraz tak miłą, gdy siedzi tak na brzeżku krzesła z włosami rozwianemi dokoła zarumienionej twarzy.

Jest teraz w tej zimnej i pustej norze pełno jakiegoś czarownego wdzięku kobiecego, coś z woni jej włosów, jej czystych, prawie eleganckich spódniczek, szkockich pończoszek i zapiętych na guziczki bucików.

Nie — stanowczo tego tracić nie chce, pragnąłby nawet pozyskać na dłużej.

A tu ta nędza... ta pustka, ten chłód, te odrapane ściany!

W naiwności swojej Szatkiewicz nie wie, że

istnieją kobiety, które nędza kochanka jeszcze silniej do niego przywiązuje.

Lecz on chwyta się rozpaczliwego środka.

— Chcesz... każę tu podać kolację! — mówi, chwytając za rączkę od dzwonka.

Lecz ona szybko odpowiada:

— Nie — dziękuję panu — ja jadłam już kolację!

Szatkiewicz czuje dla tej delikatnej dziewczyny głęboką wdzięczność.

Pragnie jej jakoś ją wyrazić. Zbliża się ku niej i tuli swą głowę w jej rozplecione włosy.

— Dlaczego ty mi mówisz pan — mów mi „ty“ — szepcze wreszcie, podczas gdy ona zdziwiona i uszczęśliwiona pyta:

— Pan pozwoli?

— Ależ... proszę cię...

— Dziękuję panu... a jakie pan ma imię?

— Zygmunt!...

— Jakie to śliczne imię!

I łagodnie, jak echo, powtarza:

— Zygmunt!...

Na Szatkiewicza działa to w dziwny sposób.

Już tak dawno, tak bardzo dawno nie wymówił nikt jego imienia. — Nazywają go zawsze „panem“ i w Redakcji czasem dodają „panie“ Zygmuncie, ale wtedy imię to ma w sobie szorstkość nazwiska.

Ta dziewczyna pierwsza od tak dawna mówi łagodnie wśród nocnej ciszy jego imię i pije je powoli, jakby rosę z kwiatu.

Nie wie nawet, jak i kiedy osuwa się przy jej kolanach i głowę swoją tuli do niej, zamykając oczy zmęczony i senny.

Dobrze mu tak i błogo.

Od czasu do czasu słychać tylko dźwięk dzwonka elektrycznego — nawoływanie numerowych.

Ona zarumieniła się gwałtownie, tak ją ten pokorny ruch mężczyzny zadziwił i prawie przeraził, lecz zaraz ochłonęła i mimo że jej usta wyszeptały :

— Wstań pan ! —

Położyła rękę na głowie Zygmunta ruchem dominującym, właściwym tylko kobietom, które poczują się duchowo silniejsze od swego kochanka.

Milczała długą chwilę — i oczy jej utkwione w szyby okien, po za któremi szarzała opuszczona roleta; zdawały się pogrążać w jakieś niezrozumiałe dla niej światy i cienie.

Wreszcie wyrzekła powoli i wyraźnie:

— A dlaczego pan tak bardzo żydów nienawidzi ?

Lecz on w tej chwili nie nienawidził nikogo. Było mu cicho, spokojnie i dobrze. — Oparty

policzkiem o kolano Irmy, z rękami opuszczonemi ku ziemi, siedział tak jak mały, biedny dzieciak, zmęczony i senny.

I prawie niezrozumiałym szeptem odparł.

— Ja? Wcale ich nie nienawidzę... skąd ci to przyszło?

— A... bo pan zawsze takie rzeczy na nich wypisuje!

On pokiwał smutnie głową.

— Piszę... bo muszę! — odrzekł prawie pokornie — widzisz, za to mi płacą...

— A!...

Kobieta zastanowiła się chwilę.

— A im kto płaci za to, że tak na żydów wymyślać każą?

— Im? Komu?

— No, redaktorowi... czy tam wydawcy...

— Im — nikt...

Irma podniosła brwi zdziwiona.

— To oni tak z siebie? E... ja w to nie wierzę!

— Oni w tem mają jakiś... geszeft!

Ostatni wyraz wymówiła gardłowo, z akcentem żydowskim i nagle jakby się opamiętała, dorzuciła szybko:

— Jakiś swój... interes!

Szatkiewicz nie chciał, czy nie mógł oponować.

Po co? Za kim miał kruszyć kopie — co go to ostatecznie obchodzić mogło?

— Muszą mieć w tem interes! powtórzyła Irma — bo przecież proszę pana — oni ciągle piszą, że są chrześcijanie i starannie się tem pysznią. Ale religia chrześcijańska to przecież na miłości bliźniego oparta... tak mówią księża... Więc pocóż w *Kurjerze Narodu* oni podburzają ciągle na bliźnich. Przecie jeśli są chrześcijanie, to powinni i dla drugich być dobrymi... a przecie żyd... to także człowiek... co? proszę pana?

On słuchał zdziwiony tych słów jej i uczuł się w obowiązku odeprzeć czemś jej proste a trafne argumenta.

— Tak... ale żydzi przecie chrześcijan nienawidzą!

Ona uśmiechnęła się i odparła z prostotą.

— No to co? To dlatego, że żydzi źle robią, to i chrześcijanie mają jeszcze gorzej robić.? Przecie gdyby byli lepsi, to powinni właśnie dać dobry przykład.

Zamilkła na chwilę i później dodała:

— A pan chyba wie — że z każdym, nawet z żydem, to łatwiej dobrocią dojść do ładu niż złością!

— A potem — czy to Pan Bóg wyznaczył każdemu człowiekowi ziemię po kawałku i powie-

dział — to będzie dla katolika, a to dla niemca, a to dla rusina, a to...· dla znów tam kogo! — Przecie tylko Pan Bóg chyba ma takie prawo... A już jak Bóg żydów stworzył, to przecie po to, żeby na ziemi także mieszkali...

Szatkiewicz ramionami ruszył.

— Moja kochana... ty się na tem nie znasz. To są kwestje ekonomiczne, rasowe, więc najlepiej o tem nie mów!

Ona zasmuciła się i oczy jej zasłoniła mgła.

— Może... wyrzekła — ja wiem, że jestem głupia, ale mnie się tak zdaje, że Chrystus to na nikogo kamieniami nie ciskał, tylko przebaczał i tak ładnie do ludzi mówił!...

Zamilkli teraz oboje.

Świeca w lichtarzu dogorywała, rzucając to jaśniejsze, to ciemniejsze błyski. Ciała tych obojga młodych, nasycone i uspokojone, pozwalały duszy błądzić i wyzwalać się z pęt zbyt ciasnych i do ziemi ciężących.

Irma jednak — jak prawdziwa kobieta — błądziła dokoła wzrokiem i ciągle biedą i opuszczeniem, jakie panowało dokoła, zdawała się wzruszona.

Wreszcie — wyrzekła cicho i układnie:

— Ja tu częściej będę przychodzić... dobrze?

On przytulił się jeszcze silniej do jej kolan.

— Dobrze — przychodź!

— Bo tu u pana bardzo... (zawahała się) nieporządnie.

— Zobaczy pan, jak ja się zakrzątnę, to zaraz będzie inaczej wyglądało.

On głową kiwnął potakująco.

— Jak chcesz... choć co mi po niepotrzebnym porządku... Ja tu prawie nigdy nie jestem.

— Ale w nocy, przecie pan tu śpi!

— W nocy ciemno — nic nie widać.

— Nie szkodzi — rano się widno robi. To przecie nieprzyjemnie tak się w brudzie obudzić.

Pomyślała chwilkę, potem dodała.

— Tu inaczej by wszystko wyglądało, żeby były firanki i dywanik na podłodze... tak jak u mnie...

Szatkiewicz machnął ręką.

— Po co?

— Tak... zawsze, eleganciej. A nawet pan nie potrzebuje od razu płacić. Ja panu dam taką... takiego kogoś, co panu to wszystko da na raty — a nawet, gdyby pan chciał, to i... pieniędzy.

Szatkiewicz podniósł głowę.

Pieniędzy? A więc jest punkt wyjścia, może dostać te czterdzieści guldenów, których tak bardzo potrzebuje.

Lecz Irma dodaje pospiesznie.

— Tylko — ja nie wiem, czy pan zechce z tą... osobą wejść w interes.

— Dlaczego nie?

— Bo to... żydówka!

Szatkiewicz się zdziwił.

— No to i co?

— No... bo..

Irma zacięła się, urwała — wreszcie dorzuciła.

— Bo przecież pan na żydów wypisuje!

— Co to ma jedno do drugiego?

Powstał z ziemi nagle uradowany perspektywą wydobycia się z tej matni, w której wił się już od tak dawnego czasu,

— Kto ona, ta żydówka... zapytał — czy znasz ją?

Irma roześmiała się wesoło.

O!... znam ją doskonale! A potem wszystkie panie z teatru ją znają, bo ona z niemi już od dwudziestu lat handluje. To... taka... teatralna żydówka. Ja ją panu przyślę... Dobrze?

Wstała i wyciągnęła ku niemu ręce. Czarna masa włosów opadała jej na piersi, ramiona, na nagie ręce Tu i ówdzie przeświecał żółtawy ton skóry o lekkim, złotawym odcieniu. Twarz jej wesoła uśmiechała się, a na bródce znaczyła się plamka ładnego dołeczka. Z poważnej i surowej urody przemieniło ją te kilka godzin pieszczot i pocałunków z roześmianą i cacaną kobietkę.

Szatkiewicz, podbity jej urokiem, ujął wyciągnięte ku sobie ręce.

— Dobrze, przyślij mi ją rano...

— Tak! tak! I każę panu przynieść dywanik, firanki, wszystko, co potrzeba...

Strząsnęła masę włosów na plecy i zaczęła szukać na stole szpilek podwójnych.

— Teraz... już pójdę!

Lecz nie wyszli jeszcze długo, długo i świeca dawno zgasła, kiedy Irma po omacku szukać musiała swego kapelusza, woalki, rękawiczek... Śmiała się wesoło i źle ubrana, z włosami ledwo spiętemi nad karkiem, stanęła wreszcie na progu izdebki.

— Chodźmy!...

Lecz zawróciła się jeszcze z głośnym krzykiem. Zgubiła rolę... tę rolę siostry miłosierdzia, którą dostała od reżysera. Była to zaledwie ćwiartka papieru, świstek, lecz dla niej coś niezmiernie ważnego, wielkiego w jej życiu.

Wreszcie — wyszli na ulicę.

Tu — oprzytomnieli oboje.

Przeraźliwy smutek, którym są przepełnione ulice Krakowa, owionął ich w jednej chwili razem mroźnem, złem tchnieniem.

Ciemno było, zimno, pusto...

Szatkiewiczowi jeść się chciało — czuł, że i Irma musi być głodna.

Obliczał w myśli, ile mu pozostało jeszcze pieniędzy i co może ofiarować na kolacyę dziewczynie,

gdy ona, tuląc mu się prawie do ramienia, wyrzekła:

— Kup mi pan owoców!...

— Chętnie. Lecz gdzie? U Hawełki?...

— O! nie!... Tu u tej nocnej przekupki na małym rynku.

I ręką, w której trzymała mufkę, wskazywała błyszczące w oddali światełko.

— Chodźmy!...

Z kupy gałganów wyszła postać przekupki i w żółtawem świetle migocącej latarki pochylila się nad stosami owoców, pokrytych szarą płachtą.

— Przykrywam, przykrywam — mówiła ochrypłym głosem, — żeby mi nie zmarzły jabłuszka niebożątka... bo i to twór Boży, i to zimna się lęka!

Irma wybierała jabłka, uśmiechając się do przekupki, jak do dawnej znajomej.

Szatkiewicz z podziwem patrzył na tę starą kobietę, całą noc drżącą od chłodu poza płotem stragana. Przejmująca wilgoć była dokoła. Wszystkie stragany inne ciemne były i opustoszone, ona jedna — ta niezmordowana, zapalała swą latarnię na noc, aby ją zgasić w chwili, gdy słońce wschodziło. — I siedziała tak nieruchoma, skostniała od chłodu, wpatrzona w światełko latarni, czuwając nad trochą zgniłych owoców, strzegąc je, sama nędzarka, przed dłonią drugiego złodzieja-nędzarza

i wsłuchiwała się tylko w drżące tony hejnału, który co godzina płynął hen — nad dachami.

Musiała go umieć na pamięć, ten nocny jęk godzinny — ta kobieta, spowita w grube łachmany, zbudzona, wśród śpiących — nędzarka o łatanej koszuli, mające dokoła siebie szałas z przegniłych desek, które jej alkowę nocną stanowiły.

Szatkiewicz patrzył na nią zdziwiony, na jej nawpół zrezygnowaną, na wpół pogodną twarzą prostej, od roli oderwanej chłopki.

Mówiła ciągle półgłosem, jakby rada, że w tej ciszy nocnej może wreszcie posłyszeć dzwięk swego własnego głosu.

— Niech pani weźmie jeszcze trochę jabłuszek. Dobre są... choć na wygląd nieładne... Ale co? Tyrolek nie mogę trzymać, bo to nie kupią... a i tak mój Boże... Ile towaru się napsuje... Ledwo się tam parę centów na noc utarguje.

.Szatkiewicz czuł niemiłe wrażenie, jakie go ogarniać powoli zaczynało.

Zgnilizna wiała z tych desek, z tych gałganów, z tych jabłek...

— Chodźmy! — zawołał na Irmę.

Lecz ona pochyliła się nad kupą łachmanów, czerniącą się na kraju straganu.

— Co to? Tu ktoś spi!..

Przekupka odparła, chowając do worka pieniądze:

— To moja siostra... kaleka!

— Dlaczegoż ją trzymacie na wilgoci i zimnie po nocy? Czemuż nie zostawicie jej w stancji?

— Kaleka przecie... nie rusza się sama. Trzeba ją dopilnować, a przecie nie mam jej przy kim w stancji zostawić!...

Szatkiewicz pociągnął Irmę za rękę. I od tej kupy łachmanów, okrywającą skostniałą z zimna kalekę, szedł cały prąd smutku i głuchej rozpaczy.

— Zaszkodzi jej! — rzuciła Irma, już oddalając się od straganu.

Lecz przekupka odparła:

— Co jej ta będzie gorszego? Ona i tak sparaliżowana!

Irma odwróciła szybko głowę.

— Jakto? Sparaliżowana, a wy jej każecie całą noc spędzać na zimnie i wilgoci. — Czy wy sumienia nie macie?

Przekupka zasuwała się już w swe łachmany, lecz na głos Irmy wychyliła swą głowę pod słaby blask świecy.

— Sumienie to ja mam — odparła dziwnym głosem — ale nie mam pieniędzy, żeby jej dać ciepły pokój i kogoś, coby ją pilnował...

— A szpital?...

Teraz cała już głowa przekupki podniosła się z szarości ciemnej przegniłych strzępów i nagle zabłysła groźna twarz, skrzywiona groźbą i gniewem.

— Szpital? A co to pani myśli, że moja siostra to byle co, żeby ją do szpitala oddać? Po mięso do krajania dla dochtorów? Widzicie ją... do szpitala...

Irma pociagnęła szybko za sobą Szatkiewicza.

— Chodźmy!...

Jabłka, które niosła, zaciążyły jej nagle. Było w nich coś wstrętnego, szarpiącego, pełnego goryczy żalu.

Szatkiewicz, choć się ich nie dotykał, czuł obecność tych jabłek i sam doznawał tego przygniatającego wrażenia.

Za nimi jęczał głos przekupki:

— Do szpitala! Widzicie ich!.. Sami idźcie do szpitala!

Koło kościoła Panny Marji głos już zcichł i młodzi ludzie zaczęli iść wolniej. Irma oddychała ciężko. Rękę, niosącą pakę jabłek, opuściła ku dołowi. Wreszcie posłyszała głos Szatkiewicza.

— Rzuć te jabłka.

Wypełniła ten rozkaz zaraz z pewną ulgą w rozżalonej duszy. Czuła, iż nie mogłaby przełknąć kawałka tego owocu i nie dlatego, że był przegniły i brzydki, ale dlatego, że coś nieuchwytnego i bolesnego owinęło się dokoła łupiny tych jabłek — coś, jakby pajęczyna z łachmanów nędzarek.

jednej bladej w świetle latarni i tej drugiej śpiącej w czarnej mogile szmat, zrzuconych z pleców drugich ludzi. Szatkiewicz szedł milcząc, z oczyma wpatrzonemi przed siebie. Czuł, że dokoła niego jest chłód i wielka nędza. W miarę, jak się posuwał, zdawało mu się, że wchodzi coraz głębiej w jakieś bagno, z którego wydostać się nie może i w którem zginąć musi.

I nagle posłyszał głos Irmy.

— I dlaczego *Kurjer Narodowy*, jeżeli jest taki bardzo chrześcijański, lepiej nie zajmie się tem, żeby mniej było nędzy zamiast tak wymyślać na żydów i na innych ludzi?

Szatkiewicz nie odpowiedział nic, ale tylko przyśpieszył kroku.

— Ja nie wiem proszę Pana!.. — mówiła dalej Irma — ale mnie się zdaje, że gdybym ja była takim Panem, co pisze, to najprzód pisałabym o takich biednych ludziach... i musiałabym coś wreszcie wypisać, żeby drudzy się opamiętali i ginąć drugim z głodu nie dali.

Umilkła na chwilę a potem znów podjęła dalej.

— Bo ja sama wiem, że jak coś przeczytam w gazecie, to już i o tem nie zapomnę i staram się jeśli tam uczciwie radzą, tak samo postąpić. I jak tam nędzę w jakiej gazecie opiszą, to najprzód i mnie zaraz lepiej na sercu, bo widzę, że inni są

odemnie biedniejsi i to, co mam, wydaje mi się jeszcze dużo — a potem i dla drugich chciałabym coś dobrego zrobić... A panu się tak nie wydaje?

Szatkiewicz mruknął coś niewyraźnie zamiast odpowiedzi.

Irma zaczęła się śmiać cichutko.

— Jaka ja głupia jestem... — zawołała — przecie Pan sam w gazetach pisze, to już na Panu to nie robi takiego wrażenia. Wiesz pan co...

— Co?

— To musi być trudno być literatem. I — niebezpiecznie...

— Dlaczego?

— No .. bo to przecież Panów biją!

— Mnie jeszcze nikt nie uderzył...

— Jabym się bała...

Szatkiewicz nadął się jak indyk.

— Głupia jesteś, najlepiej nie gadaj o tem, czego nie rozumiesz.

Irma spokorniała nagle.

— Dobrze, proszę pana.

Mijali właśnie dom, w którym mieściła się redakcya *Kurjera*.

Ciemno było.

Widocznie żmija, wypuściwszy ostatnie krople jadu, zasnęła zmęczona.

Niemniej jednak dokoła tej kuźni paszkwilów

i zarobkowej nienawiści roztaczała się wyjątkowa, nieuchwytna atmosfera.

Nawet płaszcz nocy, który wszystkie bole i cierpienia choć chwilowo przytłumia, nie zdołał wygnać pod gwiazdy tej wielkiej i niezrozumiałej nienawiści ludzkiej.

Szatkiewicza ogarnęła ta atmosfera z chwilą wejścia w jej promienie. Przypomniał sobie redakcję, Bindera, obiecaną mu posadę krytyka i ocknęła się w nim uśpiona ambicja, próżność, chęć dojścia, wypłynięcia na wierzch a zwłaszcza pragnienie gnębienia drugich.

Przypomniał sobie, iż miał przynieść paczkę plotek zakulisowych, jako podstawę do przyszłej teatralnej krytyki.

Zwrócił się ku Irmie.

Uczuł, iż była cokolwiek dotkniętą jego poprzednią szorstkością.

Wziął jej rękę i wsunął ją pod swe ramię, przycisnął ją mocno, tak mocno, jak to czynią zakochani studenci.

— Gniewasz się?

— Ja? nie!...

Szczęśliwa była z tego uściśnięcia ręki, jak z najbardziej rozkosznej pieszczoty.

On tłumaczył się dalej.

— Bo widzisz — ja mam dosyć tych dzienników,

redakcji i całego *Kurjera*. Jestem dość wymęczony cały dzień drukowaną bibułą, żeby się jeszcze nią zajmować wtedy, gdy z tobą jestem. Lepiej mi powiedz co o sobie, albo...

Zawahał się chwilę.

— Albo o teatrze...

Ona ożywiła się nagle.

— O teatrze? Ale u nas nic... Wszystko stare — chyba że się statystki kiedyś na naszym kurytarzu pokłóciły, bo podobno jedna to była z tego teatru w Krakowskim parku... więc inne tam jej coś mówiły...

— Nie chodzi o statystki, ale cóż tam u artystek nowego?

— Ach! O te panie, co się na dole i na pierwszem w osobnych garderobach ubierają?

— Tak!

— A... to już nie wiele wiem, bo te panie to pomiędzy sobą zawsze sza, sza na próbach, a na spektaklu to zajęte rolami, sukniami, ja nie wiele mam do nich śmiałości.

Szatkiewicz zaczął się niecierpliwić.

— No ale przecież musiałaś coś słyszeć. Dlaczego nie grają pojutrze „Hrabiny Sary“?

— Tego ja dobrze nie wiem... ale mi się zdaje, że te dwie panie, co miały grać dwie naiwne, to nie były kontentne jedna z drugiej, a potem ta pani

co gra Sarę, to się coś gniewała, bo poszła na górę, do pana sekretarza i potem wróciła bardzo zła...

— A... czy co mówiła?

— Nic — tylko ja wiem, że była zła. Bo jak ona w dobrym humorze, to zawsze posyła sobie po czekoladę z ciastkiem i pije na scenie, a jak się czego pogniewa, to nie posyła po czekoladę.

— A... tak!... Więc nie piła czekolady?

— Nie!

— A więc nic więcej nie wiesz?

— Nie!

Dochodzili już do domu Irmy.

Szatkiewicz przystanął na środku trotuaru.

Moja droga! — zaczął słodkim głosem — proszę cię, dowiedz się, o co chodziło tym dwom naiwnym i dlaczego tamta była zła.

Irma śmiać się zaczęła.

— Pan lubi takie babskie plotki?

— Passjami.

Chórzystka ucieszyła się serdecznie.

No, to dobrze, to ja panu nieraz o tem opowiadać będę. U nas w teatrze czasem jak w garnku...

Urwała głos i dodała tonem gorącej prośby:

— Tylko pan nikomu nic nie powie... Bo to widzi pan, u nas niewolno wynosić tego, co się dzieje, poza teatr. To już tak od dawna zawsze było!

Lecz on uspokoił ją natychmiast.

— Nie bój się... nie bój! Ja nikomu nie powiem!

— Słowo?

Szatkiewicz użył natychmiast tradycyjnego wykrętu, używanego przez wszystkich mężczyzn, skoro mają zamiar nie dotrzymać słowa.

Napuszył się i odparł z wyższością.

— Moja kochana... ja na takie głupstwa słowa honoru nie daję — jeżeli mi nie wierzysz, to...

Zrobił szeroki gest ręką, wspaniały i efektowny. Irma poczuła się sterroryzowaną i zaprotestowała.

— Cóż znowu... ja tylko tak z przyzwyczajenia!

On, *bon prince*, dał się przebłagać.

— Nie miej takich głupich przyzwyczajeń. Proszę cię o to.

Zadzwonił i natychmiast brama otworzyła się jak zaczarowana.

Coś nakształt człowieka wyłoniło się z ciemności.

Owinięte w kożuch, w szmaty, charczało, pluło i w piersiach grała mu pogrzebowego marsza cała kapela.

Irma podała rękę Szatkiewiczowi.

W chwili rozstania się z tą dziewczyną, Szatkiewicz uczuł znów obawę samotności.

— Chodź ze mną jeszcze trochę.

Lecz ona pokręciła głową.

— Nie mogę — muszę już iść na górę.

— Przecież nikt na ciebie nie czeka.

— Kto wie — może i czeka.

Szatkiewicz uczuł w sercu ukłucie zazdrości.

— Kto? Może jaki drugi? — zapytał, siląc się na spokój.

Ona wyprostowała się i rękę swoją wysunęła z dłoni dziennikarza.

— To pan już zapomniał, co pomiędzy nami było?... zapytała z taką szczerością w głosie, że Szatkiewicz uczuł się sam zawstydzony podejrzeniem, jakie w jego umyśle wskutek słów Irmy wzrosło.

Widmo, owinięte kożuchem, kaszlać zaczęło gwałtownie i zamknęło pośpiesznie bramę, jakby przecinając brutalnie subtelność uczuć i wrażeń, jaka pomiędzy tym dwojgiem zawiązywać się zaczynała. Irma po omacku zaczęła wstępować na schody, podczas gdy po za jej plecami rozegrało się nie na żarty ponure scherzo kaszlu i w ciemności wilgotnej suchym jękiem wdzierało się w ciszę wschodowej kłatki.

Na ulicy Szatkiewicz stał jeszcze chwilę przed bramą, jakby niepewny i wahający.

Miał ochotę zadzwonić i przemocą bodaj wedrzeć się do mieszkania Irmy, aby nie wracać tak samotnie do swego pustego legowiska.

Lecz — uczynić tego nie śmiał.

Czuł, iż ta dziewczyna broni od jego wtargnięcia swego kąta, swego „u siebie“ i wolę mu swoją — nawet nieobecna — szanować nakazuje.

* * *

Nad ranem około ósmej zbudziło Szatkiewicza nieśmiałe do drzwi stukanie. Zaspanym głosem krzyknął:

— *Herein!*

Nie wchodził jednak nikt, tylko skrobanie powtórzyło się delikatne i dyskretne.

— *Entrez!* wyjęczał Szatkiewicz z pod zasmolonej kołdry.

Nie mógł się bowiem zdobyć na wypowiedzenie „proszę wejść!“ — Czynił to mocą ogólnego przyzwyczajenia, a nie z chęci małpowania arystokracji.

Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich postać kobieca.

Za nią majaczył drugi cień — lecz zniknął szybko, zanim go Szatkiewicz dojrzał.

— Kto to?

— To ja... Freiwilligowa... do usług wielmożnego pana...

Szatkiewicz wytrzeszczył zaspane oczy.

Przed nim dość tłusta, lecz widocznie astmatyczna żydówka kłaniała się bokiem, przydeptując zbyt długą z przodu spódnicę. Odziana była w długi

niemodny żakiet, a na głowie miała perukę ze wstążek orzechowego koloru, które w swych świetnych czasach musiały być atłasowemi. Na peruce piętrzył się kapelusz, będący arcydziełem kombinacji rozmaitych skrawków materji, aksamitek, piór i dwóch zadziwiających, amarantowych róż, przypiętych po obu stronach głowy jak dwa rogi płonące i rozstrzępione. — Twarz tej kobiety był to znów poemat układności, jakiegoś bolesnego i jakby wrosłego w bezkrwiste wargi skrzywienia, migotania chciwego w dużych, czarnych, przepysznych źrenicach i ciągłego zalęknienia, objawiającego się w skrzywieniu niepewnem jednej strony policzka i czoła. W ręku trzymała paczkę, owiniętą w szmatę. Z pod żakietu wyglądały przewieszone na tasiemce nożyczki.

Szatkiewicz uniósł się na łokciu i patrzył na stojącą przed nim żydówkę z pewnym rodzajem podziwu.

— Po co? — zapytał wreszcie.

Żydówka uśmiechnęła się dyskretnie — uniosła się dziwacznie na palcach, jak tenor zabierający się do zaśpiewania arji, i wyszeptała z tajemniczą miną:

— Ja... tu... przychodzę — bo panna Irma z teatru mówiła, że wielmożny pan ma do mnie jakiś interes...

Urwała i poprawiła szybko:

— „Ma mi coś do rozkazania!“

Mówiła wolno, a oczyma świdrowała Szatkiewicza. Po kątach nie patrzyła. Wchodząc, jednym, wprawnym rzutem oka ogarnęła całą sytuację.

Miała przed sobą takiego pana, co to jeszcze nie był „coś“, ale mógł „czemś“ zostać.

Szatkiewicz przypomniał sobie nagle o wczorajszej rozmowie z Irmą i zrobiło mu się jaśniej na duszy.

Ta atłasowo-orzechowa fryzura żydówki wydała mu się radosnem objawieniem, dozwalającem mu wydobyć się z codziennej troski. Usiadł na łóżku — otulił się kołdrą i natychmiast jak każdy, zmuszony pożyczać pieniędzy, stał się niezmiernie uprzejmy.

— Niech pani siada!

— Dziękuję, ja postoję — ja już tak przyzwyczajona chodżyć i stoić. Siadać u mnie niema czasu. — My z mężem zawsze chodzimy, a siadamy na dłużej dopiero w szabas... Umilkła znów — ręce założyła na brzuchu i zdawała się oczekiwać pierwszego słowa z ust Szatkiewicza.

On zaś nagle uczuł się skrępowany i onieśmielony. Przedewszystkiem pragnął trochę pieniędzy, a nie wiedział, czy nie spotka się z odmową. Nie chodziło mu o uczucie upokorzenia, lecz czuł, iż ra-

dość jego zniknie zupełnie i znów pogrąży się w smutku... Przedłużał więc chwile ułudy, jak mógł i umiał.

Frajwilligowa jednak pierwsza straciła cierpliwość i, nie zmieniając pozycji, zapytała:

— Pan potrzebuje dywaniki? firanki? może bielizne? może skarpetki, chustki do nosa — może co z biżuterji? A może śliczną lornetkę z sznurkiem... a może ruską prawdziwą herbatę z plombą?

Wyrzuciła to wszystko jednym tchem i znów zamilkła jak nienakręcona pozytywka.

Szatkiewicz wziąłby nie tylko lornetkę i pud ruskiej herbaty, ażeby w następstwie dojść do pieniędzy, ale i wieżę Marjacką, gdyby Frajwilligowa uznała za stosowne, że mu jej „potrzeba".

— Ja tu mam to wszystko... w sieni — ja zawołam!

Nie czekając na przyzwolenie, otworzyła drzwi i zaszwargotała coś cicho.

Jak cień, jak widmo, jak mara wsunął się żyd stary, zgarbiony, pokorny.

Na plecach miał olbrzymi tobół — na piersiach miał jeszcze większy tobół — w rękach mniejsze tobołki przywiązane, z których wyglądał perkal i płócienka.

Mimo tak silnego objuczenia wszedł cicho, wsunął się raczej i równie cicho tobołki na podłodze układać zaczął. Ręce mu drżały ciągłym, bezustannym dreszczem, głowa się trzęsła, jakby na sprężynie.

Był to bardzo stary żyd. Miał może sześćdziesiąt, a może siedemdziesiąt lat. Kto wie! Może więcej. Zdawało się, że istnieje tak dawno, jak Kraków sam, ten Ahaswer w chałacie tak wytartym, że stał się zupełnie zielonym o szarym świecącym odcieniu. I zdawało się, że pod skórą u niego niema już kropli krwi, taki był blady — a długa broda i trochę włosów na skroniach także nie miały barwy na podobieństwo spłowiałej na słońcu słomy.

Gdy złożył na ziemi tobołki, usunął się ku drzwiom i zarysował się na ich białem tle sylwetką anemicznego starca, drżącego od uderzeń niewidzialnej chłosty, którą mu jakaś tajemnicza a nieubłagana ręka ciało chłostała.

Przez pozbawione firanek okno szło w głąb pokoju słońce poranne, równie niepewne i blade. Nie dosięgło nawet głowy nędzarza, lecz oświeciło nagle jego ręce, migające żółtemi plamami skóry i liniami szkieletu. Ręce te, opuszczone po obu stronach wychudłego ciała, zdawały się przy-

pominać parę szkap żydowskich, wynędzniałych i czekających na nową, jeszcze cięższą nędzę.

I tak mało miało to „coś“ wspólnego z istotami, mającemi żyć „pod słońcem“, iż dziwną wydawała się ta trocha promieni oświecająca ręce starca. On — zdawał się być cały przeznaczony na to, aby gnił w jakiejś wilgotnej ciemnicy, blady i bezkrwisty.

Pocałunki słoneczne czego się jego pokrzywionych palców czepiały?

I on zdawał się nie spostrzegać słońca, nie czuć jego złota ani jego delikatnego porannego ciepła, które kwiaty i delikatne ręce kobiet tak ładnie o różowym wschodzie głaszcze.

Stał — i patrzył rybim, przygasłym wzrokiem przed siebie, nie zwracając uwagi ani na Frajwilligową, która szybko tobołki rozwiązywać zaczęła, ani na Szatkiewicza, który z pod brwi zsuniętych wprawdzie, lecz z głupim i wymuszonym uśmiechem na oboje żydów patrzył.

I zaczęło się pokazywanie nędznych towarów, dywaników tandetnych, bawełnianych skarpetek, ordynarnych, podłożonych różową bibułą firanek.

Były to rzeczy wybrakowane, przyniesione z nędznych kramów na Kazimierzu, niesione w pocie czoła wśród deszczu i błota z myślą, nadzieją, pragnieniem kilkunastocentowego zarobku,

który dzielić się miał jeszcze na kilka części pomiędzy „wspólników“ całej afery, ukutej przy szklance kawy w ciemnej kawiarni pod „Zieloną latarnią“.

Rezultatem wizyty Frajwilligów była para firanek u okna, dywanik w „perskim guście“, funt herbaty, chińczyk porcelanowy, pokazujący język, i tuzin chustek do nosa.

Na wyczekującego ofiarowania gotówki Szatkiewicza spadły nagle jak grom słowa wyrzeczone przez Frajwilligową:

— Ja dam panu sto reńskich na weksel, ale niech kto solidny za panem poręczy!

Solidny poręczyciel! Przez umysł Szatkiewicza przesunął się natychmiast cień samego redaktora. Wiedział, że ów pan redaktor często ręczył nie tylko za swych współpracowników, ale i za inne osobistości z literackiego świata, znajdujące się w kłopotach pieniężnych. I później, jak mucha złowiona w sieć, tak się szamotał ten drugi, nie mogący się zaprzeć stosunków swoich z człowiekiem, który oddał mu podobną przysługę. Był współpracownikiem *Kurjera* mimo swej woli i chęci, a zapytany, dlaczego swoje nazwisko daje używać w rozmaitych wykrętnych celach, odpowiadał z rozpaczą: — „Czekajcie, niech tylko ten weksel spłacę!“

Lecz weksel najczęściej był prolongowany i włókł się za owym wyrobnikiem pióra jak kula u nogi galernika, ciężąc mu i przykuwając do siebie lata całe.

To wszystko w jednej chwili przemknęło przez mózg Szatkiewicza. Przytem — duma jego ucierpiałaby niemało, gdyby on z początku swej karjery prosił o poręczenie na tak mizernym wekslu. Gdyby to były tysiące — ale setka zaledwie! Gorączkowo przebiegł myślą swe stosunki i znajomości, żadne nazwisko nie przedstawiało gwarancji — innych on prosić nie chciał... nie mógł...

Pozycja zdawała się rozpaczliwa, bez wyjścia.

Freiwiligowa tymczasem z pod oka śledziła Szatkiewicza. Biegła fizjognomistka, wiedziała, co znaczy taki wzrok błędny, uśmiech wymuszony, palce nerwowo drapiące włosy. Tak — zrozumiała odrazu — ten młody pan, siedzący w barłogu pościeli, nie miał nikogo, kto mógł za nim poręczyć.

Słodziutko uśmiechnięta zbliżyła się do łóżka.

— Pan nie masz nikiemu, coby poręczył?

— Nie mam!...

— Nieszkodzi... pan jest nowy w Krakowie, pan nie jest wygoniony, pan nie zna dużo ludzie...

Zmrużyła oczy i składając ręce na brzuchu dodała:

— Ja panu pożyczę bez poręczyciela!

Szatkiewicz doznał olśnienia. Zdawało mu się, że tonął i ktoś mu rzucił od brzegu zbawczą linę.

— Tylko... — zaczęła żydówka — pan wie, że ja nie mam pieniędzy i będę się musiała u innych starać. Oni są bardzo łakomi na zyski i często bardzo twardzi w sercu. Pan będzie musiał dać może duży procent...

Szatkiewicz zgodziłby się i na sto za sto, byle tylko zobaczyć upragnione pieniądze — dla formy jednak zaprotestował:

— O! o! Zedrzeć się nie pozwolę!

Freiwilligowa udała obrażoną i usta zesznurowała.

— Zaraz zedrzeć! Nikt z pana nie zdziera, tylko oni, ci, co panu pożyczą — oni będą rezykowali... Panu się da bez poręczenia... to wielkie rezyko! Pan może być i godna i zacna osoba, ale pan może nie umieć oddać!...

Urwała, pomedytowała chwilkę i dodała:

— Ja nawet nie wiem, czy ja te pieniądze dostanę!

Przed oczyma Szatkiewicza pociemniało nagle. Promień słońca znikł. Znów nastała pustka i chłód. Zdobył się jednak na bohaterskie słowo.

Rzucił się na poduszki i wyrzekł:

— No, to mniejsza, to się obejdzie!

Nastało milczenie... Freiwilligowa zwijała resztki towarów. Przy drzwiach stał wciąż żyd blady i cichy. Ręce mu drgały ciągle, tylko chmura zasłoniła słońce i nie było już jasności, owijającej złotą gazą wytarte poły zniszczonego chałatu.

Szatkiewicza ogarnęła trwoga. Niedość, że znikała nadzieja dostania pieniędzy, ale w dodatku narósł dług za firanki i rozmaite drobiazgi. Gryzł z wściekłości usta, ale udawał dobry humor i nogą zapamiętale uderzał w brzeg łóżka.

Nagle — Freiwilligowa wyjęła z kieszeni małe pudełko i, otwierając je, zapytała:

— Może pan kupi pierścionek z zielonym kamieniem? To jedna dama sprzedaje, ale ona nie chce, żeby kto wiedział...

Lecz Szatkiewicz przerwał jej, owijając się kołdrą:

— Nie chcę nic, bo z panią nie można dojść do ładu!...

Freiwilligowa załamała ręce.

— Co wielmożny pan mówi!... A toć niema zgodniejszej kupcowej nademnie. Ja i z panią Mondrzejewską i z innemi paniami handluję — a zawsze w zgodzie. Ja nawet z tą panią Zapolską, co to ma być taka złośnica, zawsze w przyjaźni jestem i ona mnie tylko dwa razy za drzwi kazała wyrzucić... Ja panu co powiem: ja panu dam

te sto reńskie, odtrącę zaraz na procent dwadzieścia guldeny za trzy miesiące i na pierwszą ratę miesięczną dziesięć. Ja panu dam siedemdziesięć guldeny — pan mnie da weksel z rocznym terminem na sto czterdzieści guldeny. Ja tylko to dla pana zrobię... bo ja pana bardzo cenię jako wysoką osobę i zarezykuję i sama za panem poręczę!

Umysł Szatkiewicza zaczął pracować. Nie mógł połapać się, co to za procent proponuje mu żydówka. Widział tylko przed sobą perspektywę siedemdziesięciu guldenów i ta go zachwycała. Dla formy znów oponował, choć drżał w duszy, aby Freiwilligowa się nie cofnęła.

— To za dużo... ja nie mogę!...

Lecz żydówka zaczęła krzyczeć:

— Jakto za dużo? Jabym rodzonemu bratu nie nastręczyła taki interes. Ja panu jeszcze przyłożę pół tuzina skarpetki i tylko za nie policzę pięć guldeny... to są hrabskie skarpetki... ten hrabia ze Szlaku w takich chodzi...

Położyła na kołdrze skarpetki i wyciągnęła z kieszeni pugilares.

— Ja mam weksel... Pan chce podpisać?...

Szatkiewicz wyciągnął rękę.

— Ano... dajcie!...

Podała mu pióro, stękając i wzdychając, on poprosił ją bardzo grzecznie siedzieć i z bladym

uśmiechem, trochę drżąc, podpisał swe nazwisko i wypełnił weksel.

Żydówka wskazywała mu odpowiednie miejsce, dyktowała wyrazy. Palcem grubym, tłustym, o sczerniałym paznogciu wodziła po papierze tuż przed oczyma Szatkiewicza. On pisał szybko, aby się pozbyć widziadła tego palca, który drażnił go i denerwował w najwyższy sposób.

Lecz gdy Freiwilligowa z tego samego pugilaresu wyjęła siedem dziesiątek i te błękitną ścieżką rozłożyła na kołdrze, Szatkiewicza ogarnęła radość wielka. Uścisnął dłoń żydówki, która mu życzyła szczęścia z „temi pieniądzmi“ i natychmiast wyciągnął się na łóżku z miną udzielnego księcia. Uprzejmie patrzył na Freiwilligową, krzątającą się dokoła swych tobołków, i zwrócił uwagę na bladego żyda stojącego przy drzwiach.

— Kto to? — zapytał — wasz subjekt?

Lecz Freiwilligowa odparła trochę lekceważąco:

— Nie, to mój mąż!

— Dlaczego on nic nie gada?

Żydówka wzruszyła ramionami.

— No!... co on ma gadać? On tylko myśli — on jest taki... pobożny!

Zaczęła na plecy i na piersi „pobożnego“ nakładać rozmaite ciężary.

— My już idziemy!...

Lecz nie prędko jeszcze wyszła. Należało podpisać osobny kwitek za pobrane towary, zapłacić za nie pierwszą ratę, wziąć jeszcze talmigoldowy łańcuszek i drugiego chińczyka, pokazującego język.

Wreszcie — Freiwilligowie i ich tobołki a nawet ich cienie znikły, zostawiając za sobą ów charakterystyczny zapach, cechujący przejście żydów przez jakąś zamkniętą komnatę.

Szatkiewicz wyskoczył natychmiast z łóżka i pogwizdując zadzwonił gwałtownie na kelnera. Dzwonił długo, bo nikt się nie spieszył z usługą. Wreszcie — otworzyły się drzwi i stanął w nich zuchwały i niezadowolony kelner.

— Czego pan tak dzwoni? — zapytał.

— Wody, samowar, buty mi oczyścić!...

— O!...

Kelner ironicznie po buty sięgnął. Zobaczył na łóżku chustki, skarpetki, firanki — na ziemi dywan. Przejęło go to już pewnem zdumieniem.

— Ja buty oczyszczę — ale samowar...

Szatkiewicz, wspaniały i wielki, porwał cztery dziesiątki i, zwinąwszy, na stół cisnął.

— Oddaj to gospodyni i powiedz jej — jeżeli czyściej numerów nie będzie utrzymywać, to dam znać do policji. Żeby mi podłoga była zaciągnięta i moje firanki założone... Waszych łachów nie potrzebuję.

Rósł, dumniał, pyszniał, groźny i nieustraszony. Widząc, że kelner stoi z ustami szeroko otwartemi, porwał łańcuszek i cisnął mu go pańskim giestem.

— Weź sobie, to dla ciebie!...

Kelner, cofając się rakiem jak przed papieżem, wyszedł zgnębiony i podbity.

Szatkiewicz zaczął skarpetki szkockie, piękne i barwne, wdziewać, nucąc:

— *„Ja — beim Souppé erlebt man tolle Sachen"*...

VIII.

Regularnie teraz co kilka dni pojawiały się w *Kurjerze Narodowym* „Wzmianki“ że świata teatralnego. Były to plotki, bezpodstawne — umieszczane jednak w nadziei, że — zawsze — „coś przylgnie“. — Nagle jak rakieta wystrzelała wiadomość o... skandalu za kulisami, z powodu którego odwołano sztukę, to znów, że „Pani X. opuszcza scenę krakowską dla powodów, o których dyskrecja milczeć nam nakazuje“. — Szatkiewicz bowiem bez najmniejszego skrupułu wyciągał z Irmy, co się dało, i wchodził do Redakcji nadęty i brzemienny posłyszaną plotką, siadał przy stoliku, terroryzował Bindera swem milczeniem — wreszcie po godzinnem oczekiwaniu Binder dowiadywał się o owej „wiadomości“ przeinaczonej i przefiltrowanej przez alembik własnej fantazji Szatkiewicza.— Były to wieści często szkodliwe dla Dyrekcji, dla tych lub owych artystów, a zwłaszcza artystek — zaprawne trującą zawiścią i jadem z ciągłym jednym celem zmiażdżania, zdruzgotania wszystkiego, aby na tych gruzach wznosić gmach na własną rękę.

Irma zadowolona i rada, że wreszcie Szatkiewicz znajdować zaczynał przyjemność w rozmawianiu z nią częściej niż zwykle — szperała teraz w pamięci swojej i była wiernem echem tego, co przebiegało jak szmer całego stada myszy kurytarze teatralne. Często — gdy jej wpadł w rękę *Kurjer Narodowy* dziwiła się, że „ci panowie to samo piszą, co ona wie i słyszy, ale daleką była od przypuszczenia, iż widzi własne swe słowa wydrukowane na szpaltach pisma.— Zaklęła bowiem Szatkiewicza, aby nigdy, nikomu nie powtarzał tego, co od niej usłyszy — a on odpowiedział jej z miną obrażonego indyka.

— Czy mnie masz za starą plotkarkę? —

Umilkła podbita i przekonana. Od tej chwili nie krępowała się wcale. Często nawet, zdjęta niewytłómaczoną a wspólną wszystkim kobietom potrzebą kłamstwa — kłamała, ubarwiała własnemi domysłami i przypuszczeniami jakaś bezpodstawną wiadomość, pragnąc wywołać na kochanku jeszcze większe wrażenie.

W gruncie rzeczy wiedziała bardzo mało — gdyż na próbach i na przedstawieniach nie śmiała się do grona lepszych artystów zbliżać, a w garderobach mówiono o „wszystkiem", ale o plotkach nie wiele — strzegąc się pilnie jedna przed drugą.

Lecz niedługo Irma dostrzegła, iż artyści

a zwłaszcza artystki rzucają na nią dziwne spojrzenia, a niektórzy unikają jej wyraźnie. Teraz miała częstsze pole do spotykania się z wybitniejszemi siłami sceny, gdyż zaczęto próby owej sztuki, w której ona miała drobną rólkę zakonnicy. Rozgorączkowana tym swoim debiutem, przejęta całą ważnością chwili, przychodziła teraz na próby przed oznaczoną godziną i błąkała się wśród kulis, na które padały złote promienie słońca przez olbrzymie, w głębi znajdujące się okna.

Występowała dopiero w ostatnim akcie, ale zdawało się jej, że obowiązkiem jej jest być od początku i wsłuchiwać się uważnie w treść całej sztuki.

Dniami i nocami marzyła teraz o kostjumie zakonnicy, białym kornecie, opromieniającym aureolą łagodności twarz, o długiej szarej sukni i paciorkach różańca, zwisających na ciemnym szafirze fartucha. Raz spotkała na ulicy taką Siostrę Miłosierdzia. Natychmiast zawróciła się i szła tuż za nią, patrząc na nią z zachwytem.

Zakonnica doszła do otwartych drzwi kościoła i weszła w nie, żegnając się u samego progu.

Irma zatrzymała się i stała długą chwilę wpatrzona w ciemne wnętrze, w którem połyskiwało złoto zapalonych świec.

Niskie, przewlekłe tony organów dolatywały

z wnętrza. Kobieta słuchała i serce w niej topnieć zaczęło. Zdawało się jej, że z tego otwartego kościoła płynie ku niej cały snop spokojnych, łagodnych wrażeń.

I jakby pociągnięta magnetyczną siłą — przestąpiła próg kruchty i znalazła się we wnętrzu.

Kościółek był mały i bardzo, bardzo stary.

Miał wygląd naiwny i biedny ze swemi trzema ołtarzami, w których czerniały stare obrazy, oblamowane girlandami papierowych róż.

Irmę uderzyło na wstępie to, iż gdy stała na zewnątrz, kościół wydawał się jej ciemną otchłanią — wszedłszy, znalazła jasną białość murów — jakąś dziwną, nieokreśloną.

Ołtarze były ubogie i puste, ale jeden boczny pobożne ręce oplotły cały w koronkę kwiatów jabłoni tak delikatnych i misternych, jakby kto płatki śniegu nawieszał na niewidzialne nitki.

Całe gałęzie pięły się ku górze dziewiczo białe, i dziewiczo czyste i obraz Marji krył się prawie cały po za tą zasłoną wiosennego kwiecia, które zdaje się dlatego zakwitło tak wcześnie, aby kaskadą swej białości opłynąć postać Dziewicy.

Irma zatrzymała się przed tym ołtarzem i nieśmiało źrenice podniosła ku górze. Spotkała się z źrenicami Marji, które zdawały się mówić:

— Jam jest samą miłością — niczem tylko „miłością“.

I chórzystka stała tak długo zapatrzona w te łagodne oczy, które zdawały się z poza kwiatów patrzeć na nią, ciągnąć ku sobie, przebaczać.... nawracać.

* * *

Szatkiewicz jednak nie był zadowolony.

Dostarczał ciągle najświeższych wiadomości, rozkopywał dawno zapomniane urazy, niby ujmując się za krzywdą artystów, siał ciągłą niezgodę między Dyrekcją a personalem teatralnym, napadał na pierwszorzędne aktorki z brutalnością pijaka, lecz — czynił to wszystko przez ręce Bindera, który berła krytyka nie chciał wypuścić ze swych dłoni. Szatkiewicz wciąż jeszcze był używany do „wzmianek“, — lecz nie o to mu chodziło — on pragnął zająć stanowisko Kaziutka Z. w Warszawie. Chciał terroryzować, karać, zabijać ironją, kłuć zatrutemi szpilkami cały świat teatralny. Tymczasem redaktor pozostawiał jeszcze pełną władzę Binderowi, który rozsiadał się z miną patentowanego krytyka na każdej premierze.

Ten stan rzeczy musiał się raz skończyć.

Szatkiewicz, od chwili „urządzenia“ sobie z pomocą Frajwilligowej mieszkania, zmienił trochę spo-

sób życia. Zaczął częściej przesiadywać w domu i kupił sobie nawet papier, pióro i atrament do pisania swego dramatu. Nie mógł się zdecydować jednak, aby napisać chociażby szkic. Wielkiemi tylko literami wykaligrafował tytuł:

Śmiertelny bój

Dramat społeczny w 5 fragmentach.

To było jednak wszystko.

Mówił jednak o tej pracy dużo, głośno i chętnie. Idąc przez ulicę ze znajomymi, zatrzymywał się przed każdym gorzej ubranym obywatelem i wpatrywał się weń uporczywie. Mówił, że — zbiera dokumenta. To mu zaczęło nadawać pewną sławę i otaczać go aureolą przyszłej wielkości. W *Kurjerze narodowym* pomieścił sam o sobie wzmiankę, dodając, że dramat jest ukończonym.

Gdy Binder pełnym zazdrości głosem zapytał:

— I gdzież go pan masz zamiar przedstawić?!

Odparł z niechcenia,

— Koresponduję z Warszawą!

W tym czasie oddał ważne redakcji usługi. Rozpoczął się bowiem w Paryżu senzacyjny proces, wstrząsający świat cały. Należało więc sfabrykować w Krakowie paryskiego korespondenta. Szatkiewicz z dziwną zręcznością rozpoczął rabować

dzienniki francuskie, dodając „mojem zdaniem“ — „według mnie“, co miało przekonać krótkowidzących czytelników o autentyczności owych listów „własnych“ *Kurjera narodowego*.

Na robotę ową zwrócił baczniejszą uwagę sam redaktor i zaczął używać Szatkiewicza do ważniejszych poleceń. I tak troskliwie rozdmuchana przygotowywała się judenheca w połączeniu z antisocjalistyczną demonstracją. Powód wybrano błahy— jakiś przejazd posła, lecz gruntem miała być późniejsza owacja, wyprawiona pod oknami redakcji, w celu uczczenia szlachetnych tendencyj pisma.

I z pewnym artyzmem — składnie — cicho — przygotowywano grunt do tej demonstracji od dawna — od lat kilku. Nienawiść plemienną i przekonaniową pielęgnowano troskliwie jak jadowitą i niezmiernie rzadką roślinę.—Drobnemi lecz bezustannemi środkami działano na masy — schlebiając niskim instynktom tłumu. — Wyciągnięto z pleśni całe masy utartych komunałów i zaczęto wojować niemi na prawo i lewo.

I tu nagle zabłysnął Szatkiewicz w niespodziewany sposób. Była to po prostu rewolucja, która olśniła redakcję *Kurjera*.— On sam dziwił się, skąd mu przychodzi ten „spryt“ w dopomaganiu kampanij, lecz wiedział, iż lwia część zasługi spadać będzie na niego. — Binder i inni współpracownicy

byli zdystansowani. Artykuły ich robiły wrażenie szklanek ciepłej wody. On jeden tryumfował i sam upajać się zaczął pianą nienawiści. Wszyscy zaczynali uznawać w nim coś takiego, co to „dojdzie“ — gdyż nie obejrzy się poza siebie. On sam rozumiał dobrze, iż owo „obejrzenie się“ ukaże mu całą ohydę jego postępowania. Zamykał więc oczy i szedł naprzód przebojem.

Z Frajwilligową miał teraz coraz częstsze stosunki. Zapłacił jej dwie raty po dziesięć guldenów i nabrał od niej znów towarów na pięćdziesiąt. Ona niezmordowanie przynosiła wszystko. Mydło— pilniczki do paznogci, laskę, pierścionek z fałszywym szmaragdem, lampę, lornetkę, brylantynę, słowem wszystko. Zrobił się nagle wielkim elegantem i za pośrednictwem Frajwilligowej znalazł krawca żyda, który go ubrał na kredyt. Jedynie tylko ze stosunkiem swym z Irmą krył się, gdyż była to zaledwie chórzystka, co go poniżało w oczach innych współpracowników.

Lecz pomimo jego usiłowań spotykano ich czasem razem i to zaczynało zwracać uwagę artystów, którzy czuli się urażeni plotkami, kursującemi o nich w *Kurjerze narodowym*.Nikt jeszcze otwarcie Irmie nie wypowiedział swych podejrzeń, lecz powoli nabierano pewności, iż nikt inny tylko ona „wynosi“, co się w teatrze dzieje.

I owe podejrzenia okrążyły ją teraz, jak cała siatka niewidzialna, a przecież istniejąca. Opędzała się od nich, gdyż zaczynała odczuwać je nerwami, jakkolwiek jeszcze ich źródła zrozumieć nie mogła. Zresztą teraz zajęta była cała ową rolą zakonnicy. Zdawało się jej, że na jej barkach spoczywa powodzenie sztuki. Jakkolwiek wchodziła w ostatnim akcie dopiero, jednak zjawiała się na próbę najpierwsza i rozgorączkowana, z wypiekami na twarzy, błądziła po pustej scenie i wśród kulis, szepcąc swą rolę, robiąc nieznaczne giesta, gdy została w cieniu zdala od wzroku maszynistów, siedzących na kupie szmat lub zwalonych w piramidę mebli.

Szatkiewicz przychodził do niej zwykle w popołudniowej porze i ona starała się ugościć go kawą lub herbatą, dodając do niej ciastka, wedle stanu swej kieszeni. Często jednak brała jakieś maluchne ciasteczko i wychodziła z niem na wschody, znikając na kilka chwil w drzwiach sąsiednich. Gdy wracała, miała często powichrzone włosy i ślady cudzych łez na policzkach. Szatkiewicz jednak nie zwracał na to uwagi. — Siedział rozparty i dumny — dawał jej niektóre wskazówki co do roli — mówił tonem protekcjonalnym i raczył pić kawę. Obdarzał ją pieszczotą rzadko i właściwie pozwałał się kochać i pieścić jako wielki i dobrotliwy pan, który raczył się zniżyć aż do

poziomu swej niewolnicy. Nazbierawszy dostateczną sumę rozkoszy i teatralnych plotek, wynosił się, śpiesząc się zawsze, zaaferowany, jakby losy Europy ciążyły na jego barkach.

Nie były to losy Europy, ale po części losy numeru *Kurjera narodowego*. Należało się śpieszyć i kuć żelazo, póki było gorące. Bezustanne podjudzanie i podszczuwanie na żydów i socjalistów zaczynało wydawać swoje owoce. W małych miasteczkach, gdzie ów gadzinowy syk dochodził, rósł płomień nienawiści w sercach ciemnych i głuchych na głos wszechludzkiej miłości. Tu i ówdzie rozpoczynały się rozruchy, zaczynały szaleć zwierzęta ludzkie, spętane do tej chwili więzami pobłażliwości i tolerancji cywilizacyjnej. — *Kurjer Narodowy* rozpoczynał zbierać plon swego krwawego i ohydnego siewu. — Na kozłach dorożkarze czytali broszurki, pisane przez kapłanów, podniecające nienawiść przeciw bliźnim. Po sklepach żydzi sterroryzowani szachrowali z wzrastającą furją nienawiści i zemsty. Jakiś płomienny, gorący dech wiał teraz nad miastem, szepcąc szatańskie zaklęcia, z któremi biała szata Galilejczyka nic nie miała wspólnego.

O! Jak dalekim w tej chwili od spekulującej imieniem jego hałastry był ten promienny Żyd, będący cały tak wielką miłością!

Jakże różne były jego słowa przebaczenia, wyjęczane na krzyżu, od słów podbudzających do ciągłej niezgody, jątrzenia i... mordu.

I owe „stronnictwo“, uzurpujące sobie miano chrześcijańskiego, czem było wobec rzeczywistych chrześcijan roznoszących słowa pokoju, zgody, miłości — na świat cały!

I tu, i tam tłum był tylko tłumem.

W powietrzu zadźwięczały słowa miłości bliźniego, wionęły skrzydła gołębia pokoju — tłum pobiegł za temi słowy i stawał się sam białym gołębiem, garnącym ku sobie nawet zbrodniarzy.

Obecnie — nad Krakowem załopotały nietoperze skrzydła nienawiści. I tłum z gołębia powoli przemieniał się w dzikie, krwi pragnące zwierzę. Instynkta niskie budziły te skrzydła czarne, oślizgłe od błota i złej woli. Proletarjat umysłowy pochłaniał paszkwile i nasycał się niemi. Widmo Essemisty, bosego i nieskalanego w swej nieszytej szacie, bladło na widnokręgu i tęcza przymierza rozpływała się w przestrzeni. Z nauk Chrystusa nie pozostawało nic, a natomiast niebo przybierało barwę krwi bardziej purpurowej i palącej niż inna, bo krwi, bądź co bądź bratniej, bliźniej — człowieczej! — *Kurjer Narodowy* triumfował osiągnąwszy cyfrę... trzech tysięcy abonentów!

* * *

— Napisz pan, że ta jakaś, która grała rolę zakonnicy jest żydówka i jako taka nie ma prawa nosić habitu i grać roli siotry Miłosierdzia.. Nie zapomnij pan... A! Jeszcze dodaj pan, że sztuka ma nikczemną tendencję i jest stekiem błota!

— Dobrze, panie redaktorze!

Szatkiewicz wyszedł z gabinetu redaktora i zabrał się do pisania recenzji.

Był to dla niego dzień wielki i uroczysty.

Został bowiem recenzentem teatralnym na miejscu Bindera, recenzentem nie od wzmianek, ale prawdziwym, urzędowym, zatwierdzonym recenzentem *Kurjera Narodowego*.

Duma rozpierała jego pierś. Z wielką jednak kurtuazją przeszedł obok Bindera, który miał w tej chwili minę zdetronizowanego władcy. Poszedł do biurka — usiadł i wziął do ręki pióro.

Nagle — przypomniał sobie słowa redaktora.

Irma — żydówka.

Nigdy mu to nie przyszło do głowy. Mówiła czysto po polsku — miała wprawdzie nos lekko zgarbiony, ale tak niewiele — ledwo dostrzędz było można...

Tylko obecnie, zbierając wszystkie dawne wrażenia, przychodził do przekonania, że to jest możliwe ze względu na pewne charakterystyczne

skrzywienia ust, szczególniej gdy stała w słońcu, na pokędzierzawione włosy, uszy dość odstające...

Tak, tak, redaktor się nie mylił. Ta dziewczyna, która mu nigdy nic o sobie opowiedzieć nie chciała, była żydówką. A nawet gdyby tak nie było — redaktor kazał mu napisać, że Irma jest żydówką, sprzeciwiać się nie można. Cóż mogło się stać, gdyby w pierwszej recenzji nie usłuchał rozkazu redaktora? Binder, który słyszał z pewnością to, co redaktor mówił do Szatkiewicza, nie omieszkałby z tego skorzystać...

Zaczął więc pisać, pilnie marszcząc brwi — udając człowieka niezmiernie przejętego ważnością swego zadania. Już dokoła niego robiła się owa próżnia, pełna szacunku. Przewidywano w nim „prawą rękę“ redakcji. Obecnie wiedziano, że pisze „pierwszą recenzję“. Usuwano się dyskretnie, niemniej przeto śledzono uważnie każdy jego ruch, umaczanie pióra.

Lecz Szatkiewicz zastanowił się nagle i pisać przestał. Przypomniał sobie, ile radości, ile nadziei Irma pokładała w odegraniu tej roli zakonnicy. Nagle — żal mu się zrobiło tej dziewczyny, która w ciężkich chwilach okazywała mu tyle dobroci. Poczucie męskiego honoru targnęło nim całym. Wszakże to była kobieta mu bliska, dobra, łagodna, a nawet kochająca...

Lecz wzrok jego padł na obok siedzącego Bindera i spotkał się ze stalowemi źrenicami pięknego blondyna, a spojrzenie tych źrenic podziałało na Szatkiewicza jak uderzenie szpicruty. Pod żółtawem światłem lamp dostrzegł Szatkiewicz we wzroku Bindera całe morze szyderstwa i zawiści.

Wyprostował się więc — wydął pogardliwie wargi i śpiesznie pisać zaczął

„Rolę zakonnicy powierzono najniewłaściwiej żydówce, Irmie Pasmantieri. Żydowskie jej pochodzenie profanuje świętość habitu i wywołuje w chrześcijańskich widzach niesmak i oburzenie...

Zastanowił się chwilkę, rozgrzany już przedmiotem, i dodał sam z siebie, zapominając nawet o kim pisze:

— Zresztą owa aktorka nie umie nawet mówić po polsku. Charczące dźwięki, jakie wydaje, przypominają raczej żargon, używany na Kazimierzu, niż dźwięk mowy ojczystej. Lecz dyrekcja niepomna, że na frontonie świątyni widnieje napis: „Naród — sztuce“ zamienia przybytek sztuki narodowej na wystawę żydowskich piękności i pozwala na profanację nie tylko gmachu, ale i szat drogich sercu każdego chrześcijanina-Polaka“.

I z wielkim rozmachem podpisał

Szatkiewicz.

Tymczasem cała redakcja zawrzała radością.

Z prowincji nadeszły doskonałe wiadomości.

Rozpoczęła się po miasteczkach i osadach „Judenheca“. Tu i ówdzie wystąpiono zbrojnie. W jednem z miejsc sygnalizowanych stygły pod szopą trzy trupy włościan, nieświadomych narzędzi pragnień pieniężnych swych przewódców.

Inni aresztowani tłoczyli się w zgniłych aresztach gminnych, jak stado owiec oślepłych od krwawej chęci mordów i pożogi.

Członkowie redakcji, zbici w masę koło głównego stołu — tuż pod dużą płonącą lampą — z twarzami rozjaśnionemi, uśmiechniętemi wczytywali się w tę krwawą „pocztę“, która przyszła z daleka, przepojona zapachem świeżej krwi ludzkiej i zda się, zionąca wśród nocy jeszcze przekleństwami bratobójczej walki. Szatkiewicz powstał od swego stołu i zbliżył się powoli do ogólnej grupy.

I jego ogarnęło ogólne zadowolenie.

Numer jutrzejszy będzie przepyszny!

Owe „judenhece“, zabarwione jeszcze dodatkami redakcji, same przez się wzburzą cały Kraków. Numer zostanie wykupiony, rozejdzie się w tysiącach egzemplarzy.

A potem... recenzja!

Jego recenzja!

I odważnym, śmiałym ruchem wyciągnął rękę ku leżącym na stole listom i telegramom.

— Panowie pozwolą! Ja zaniosę redaktorowi! wyrzekł, zgarniając ku sobie papiery.

Nikt się nie sprzeciwił.

Szatkiewicz zabrał papiery i swoją recenzję, błyskając pierścieniem, który wziął na kredyt od Frejwilligowej — i skierował się ku drzwiom gabinetu redaktora. I za chwilę znikł za niemi antysemitnik z przekonania — wchodząc na próg gabinetu, miał jedno tylko z góry powzięte postanowienie zażądania podwyżki miesięcznej pensji.

I podwyżkę tę — dostał.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA „LEKTORA"

CLAUDE FARRÈRE

LUDZIE CYWILIZACJI

POWIEŚĆ.

Szczęśliwy kraj wymarzonego, z bajek nam znanego jedynie wschodu, — oto tło obrazów, zawartych w tej niezwykłej powieści. A na tem tle zestawił autor obok siebie dwa światy ludzi, żyjących pełnią życia niczem nieskrępowanego i rozkoszy, Europejczyków i tubylców. Obie strony — to ludzie cywilizacji. Która z nich lepsza, nasza czy wschodnia, oto problem, jaki pozostaje czytelnikowi do rozwiązania.

MIECZYSŁAW SROKOWSKI

KULT CIAŁA

POWIEŚĆ.

Pożądliwość, głód młodych zmysłów, ciekawość oczu i królująca, wszechwładna miłość na czele, oto gwiazdy przewodnie, które bohaterkę powieści ku niebezpiecznym grom wiodą. I sama w nich skrzydła opala i mężczyznę od wzlotów ku słonecznym krainom sztuki odwodzi. Całość tchnie żarem namiętności zmysłowej, a mimo to pełnej poezji i niewysłowionego wdzięku.

GABRYELA ZAPOLSKA

SZALEŃSTWO

POWIEŚĆ.

Przez znawców i smakoszów literackich wyżej ceniona z wielu dzieł swoich jako przedstawicielka naturalizmu, niż Zola, poruszyła Zapolska w „Szaleństwie" temat nigdy dotąd w literaturze nie poruszony, choć w życiu jakże zapewne częsty. Jeden krok fałszywy, a raczej właśnie w kobiecie naturalny, krok dyktowany żądzą macierzyństwa, mści się na niej, mącąc na zawsze jej myśli i odbierając spokój.

Z DRUKARNI »DZIENNIKA POLSKIEGO«
LWÓW, UL. CICHA L. 5. – TELEFON 283.